

Moja Szkota

Moja Szkoła

Prace nadesłane na konkurs literacki
poświęcony działalności
I Liceum Ogólnokształcącego
im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni

Redakcja: *Jacek Matrejek*

Bochnia 2015

Copyright by:
Stowarzyszenie Absolwentów i Przyjaciół I Liceum Ogólnokształcącego
im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni, Bochnia 2015

ISBN 978-83-939296-6-5

Inicjatywa wydawnicza:
*Stowarzyszenie Absolwentów i Przyjaciół I Liceum Ogólnokształcącego
im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni*

Wydawnictwo zostało sfinansowane przez Powiat Bocheński

Korekta:
Nauczyciele I Liceum Ogólnokształcącego w Bochni

Fotografia na okładce:
Adam Famielec, Atelier Fotograficzne – Bochnia

Projekt okładki:
Artur Piątek

Wydawca:
Studio projektowo-wydawnicze

ul. Ludowa 40, 33-101 Tarnów
kom. + 48 504-190-675
e-mail: studio@artusgraf.pl
www.artusgraf.pl

Wstęp

Liceum Ogólnokształcące im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni to jedna z najstarszych szkół średnich. Za dwa lata, w 2017 roku, obchodzić będzie dwustulecie swego istnienia. Te dwa wieki to ludzie, sytuacje, zdarzenia...

Tradycją Liceum stały się zjazdy absolwentów. Zwykle roczniki maturalne organizują swe spotkania co pięć lat, ale są i takie, które spotykają się corocznie. Zjazdy to okazja do wspomnień, które stają się jednak z czasem coraz słabsze, mniej wyraźne. Na zjazdy przybywa coraz mniej uczestników, w niepaamięć odchodzą kolejne roczniki absolwentów, a wraz z nimi wspomnienia. Na kolejnych spotkaniach pojawia się nas coraz mniej. Pamięć staje się bardziej zawodna... Spoglądamy na siebie, z trudem rozpoznając kolegów i koleżanki, zwłaszcza z klas sąsiednich. Myślą nam się zdarzenia, sytuacje, osoby...

Dzisiejszy sposób przekazu informacji nie sprzyja utrwalaniu wspomnień. Wiadomości, informacje przekazywane są za pośrednictwem mediów elektronicznych, w porozumiewaniu się używamy komunikatorów internetowych, wiadomości tekstowych, poczty elektronicznej. Nie piszemy pamiętników, których rolę przejmują internetowe blogi, nie prowadzimy tradycyjnej, papierowej korespondencji. Historia naszego życia to zapisy na forach internetowych, Facebooku, Tweeterze. To tysiące fotografii wykonywanych telefonami komórkowymi, aparatami cyfrowymi, których jednak nie ma nawet czasu przeglądać. Setki informacji, błahych, ulotnych, istniejących tylko chwilę, wypieranych przez kolejne – dla internetu rów-

nie ważne jak te, które pojawiły się na serwerach zaledwie kilka minut wcześniej.

Sposób wyrażania naszych uczuć, odczuć, nastrojów, to obecnie często emotikony, które jednak są jedynie uproszczoną formą wyrażania naszych przeżyć. Słowo mówione, pisane zdaje się mieć coraz mniejszą wagę.

Wystarczy jednak chwilowa awaria urządzeń elektronicznych, skasowanie twardego dysku w komputerze, awaria karty pamięci, przypadkowe naciśnięcie klawisza „delete”, by nasze wspomnienia odeszły w niebyt.

Nasi rodzice, dziadkowie, którzy w murach Liceum pobierali edukację przed kilkudziesięciu laty, niejednokrotnie z łezką w oku wspominają spędzone tu lata. W ich wspomnieniach padają pseudonimy nauczycieli, których już nie ma, przewijają się zdarzenia, sytuacje, które już nigdy nie będą mieć miejsca, bo już nie te czasy, nie te warunki...

Czy za dwadzieścia, pięćdziesiąt lat ktokolwiek będzie pamiętał, jak wyglądało dzisiejsze Liceum? Czy ktoś pamięta, jak wyglądało ono w latach powojennych, w stanie wojennym? Czy ktoś wie, jakie osobowości kryły się za zszarzałymi fotografiami profesorów na szkolnych tablach? Czy wiedzieć będziemy, gdzie znajdowała się salka gimnastyczna, harcówka, ciemnia?

Pragnąc utrwalić przynajmniej część wspomnień zarówno obecnych uczniów Liceum, jak i absolwentów Szkoły, Stowarzyszenie Absolwentów i Przyjaciół I Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni postanowiło zorganizować w 2015 roku konkurs literacki pod nazwą *Moja Szkoła*. Uczestnikami konkursu mogli być obecni uczniowie Liceum. Formuła konkursu była otwarta, dozwolone były wszelkie formy literackie: eseje, wywiady, wspomnienia, pa-

miętniki, reportaże. Jak się okazało, dla większości uczestników udział w konkursie był pierwszym takim doświadczeniem.

Na konkurs wpłynęło blisko 30 prac. W większości były to wywiady z osobami, które uczęszczały do Liceum w latach minionych, choć pojawiły się i prace ukazujące aktualne życie Liceum.

Niniejsza broszura zawiera kilkanaście prac uczestników konkursu. Pragnęlibyśmy, by stanowiły one pewien przyczynek do utrwalania zbiorowej pamięci o tym, czym było i jest I Liceum Ogólnokształcące w Bochni. Mamy nadzieję, że w latach następnych inicjatywę taką uda się nam powtórzyć. Zbiorek otwiera wspomnienie absolwenta liceum, maturzysty z roku 1976, który niestety, z powodu ograniczeń regulaminowych nie mógł wziąć udziału w konkursie. Jury doszło jednak do wniosku, iż pominięcie jego barwnych wspomnień o Liceum z lat siedemdziesiątych byłoby niepowetowaną stratą. Twórcami kolejnych prac są obecni uczniowie „ogólniaka”.

Zorganizowanie konkursu i wydanie niniejszej broszury nie byłoby możliwe bez wsparcia finansowego Powiatu Bocheńskiego, którego Władzom, w imieniu organizatorów, składam serdeczne podziękowania. Dziękuję także Dyrekcji Szkoły i Nauczycielom, którzy zachęcili młodzież do udziału w przedsięwzięciu i pomogli w organizacji konkursu.

W imieniu organizatorów Konkursu
Prezes Zarządu Stowarzyszenia
Jacek Matrejek
(rocznik maturalny 1980)

Chciało się żyć – czyli my z „Ogóła”

*„My nie tęsknimy za komuną,
my tęsknimy za młodością”
(Andrzej Sikorowski)*

Po raz pierwszy mury Liceum Ogólnokształcącego przekroczyłem pewnego ciepłego czerwcowego popołudnia 1972 roku. Nie musiałem zdawać egzaminów wstępnych, więc przyniosłem jedynie podanie do nowej szkoły. Na korytarzu, przed sekretariatem zobaczyłem licealistę, który wieszał artykuł w szkolnej gazetce. Zobaczył mnie z arkuszem papieru kancelaryjnego w dłoni.

– Chłopie, idź do jakiegoś technikum. Przynajmniej będziesz miał jakiś zawód – powiedział.

Czy starszy kolega miał rację?

Gierek, czyli czasy

Uczęszczałem do Liceum w epoce wczesnego i środkowego Gierka, a więc przed podwyżkami, przed Radomiem, Ursusem, zabójstwem Pyjasa i wiosną „Solidarności”. Byliśmy indoktrynowani, ale nawet najmniej rozgarnięci zdawali sobie doskonale sprawę, że to, co się oficjalnie mówi czy pisze, to „pic na wodę, fotomontaż”. Obchody, akademie, czyny spo-

łeczne czy pochody obchodziły nas mało. Traktowaliśmy je jako zło konieczne, coś nierozzerwalnie związanego z miejscem i czasami, w jakich przyszło nam żyć. Dzisiaj wielu jest takich, którzy twierdzą, że już wtedy wiedzieli, że tamten ustrój musi paść. Ja, mając 16 czy 18 lat, nie spotkałem żadnego rówieśnika o takich zdolnościach profetycznych, które pozwalałyby mu wieszczyc, co wydarzy się w naszym kraju nad Wisłą za kilka czy kilkanaście lat. Słuchaliśmy Radia Wolna Europa czy śpiewaliśmy przy ogniskach piosenki z refrenem w rodzaju:

„A ty maszeruj, wciąż maszeruj,
Głośno krzycz:
Niech żyje nam
Wołodia Ilicz”.

Organizacje młodzieżowe omijały szerokim łukiem. Wiedzieliśmy o Katyniu, Poznaniu '56, Marcu '68 czy Gdańsku '70. Była to oczywiście wiedza szeptana – cenzura była bowiem surowa.

Religia była zakazana, ale na te lekcje w sąsiedniej bursie chodziła większość uczniów. Prawie każdy z nas, idąc do szkoły, wstępował do kościoła. Socjalizm to nie było wesołe miasteczko i my, młodzi, niezbyt gniewni, zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

Największym świętem w czasie roku szkolnego był 1 Maja. Gęsty tłum licealistów ruszał spod budynku szkolnego. Ale przed trybunę honorową na ulicy Kazimierza docierało tylko tzw. ciało pedagogiczne, samorząd szkolny i ci nieudacznicy, którzy dali się wmanewrować w niesienie transparentu bądź szturmówki. Ktoś dorosły za brak obecności na

pochodzie mógł poważnie beknąć – kłopoty w pracy, wizyta w „esbecji”, słowem: ogólna „podpadziocha”.

Wiedzieliśmy, że jesteśmy za żelazną kurtyną. Z błyskiem w oczach i drżeniem w sercu przyjmowaliśmy wszystkie odpryski ze zgniętego Zachodu czy Ameryki. Byliśmy (chyba) normalni. Nie przyjmowaliśmy wciskanej nam ciemnoty, ale też nie rwaliśmy się do stawiania barykad i burzenia ustroju, który większości z nas wydawał się nie do zburzenia.

„Obyś cudze dzieci uczył”, czyli ciało pedagogiczne

Grono pedagogiczne składało się z kilkudziesięciu osób, przy czym klasy były znacznie liczniejsze, a pensum nauczycielskie większe niż dzisiaj. Była to ekipa bardzo zróżnicowana pod każdym względem: merytorycznym (mieli wiedzę lub nie), dydaktycznym (potrafiliby uczyć lub nie), mentalnym (chciało im się lub nie) i prosto rzecz ujmując – ludzkim (różne charaktery i sposoby traktowania uczniów).

„Komandą” dowodził Dyr – człowiek dość lubiany przez uczniowską tłuszczykę, a to dlatego, iż nie był szczególnie ciepły i generalnie „szło się z nim dogadać”. Dyrektorował w ciężkich ideologicznie czasach „esbecji” i surowej cenzury, przez co – jak mówiła jedna z kabaretowych piosenek – „miał wolną rękę, ale w trybach”. Wyznawał zasadę: „Panu Bogu świeczkę (róbmy swoje), a diabłu (władzy) – ogarek”. Proporcje wielkości świeczki i ogarka były – rzecz jasna – różne, w zależności od sytuacji. W stosunku do uczniów przestrzegał reguły: jeśli zmalowałeś coś w szkole – sprawa była załatwiana w rodzinie, ale jeśli narozrabiałeś poza szkołą – miałeś kłopoty.

Cenił nasze osiągnięcia na niwie artystycznej, intelektualnej (konkursy i olimpiady) oraz sportowej.

Najwyżej cenionym belfrem edukującym moją klasę był polonista zwany Żuke. Był członek AK i wykładowca UJ (jak niosła fama), wyrzucony za poglądy polityczne (jak również niosła fama). Trafił do naszej szkoły średniej, ale prowadził zajęcia po studencku. Miał maleńką wadę wymowy, stąd jego ulubione powiedzenie brzmiało: „Jakem takem Polakiem trzeba być!”.

Traktował nas poważnie, jak osoby co prawda młode, ale które warto wysłuchać. Dzielił klasę na grupy, z których każda opracowywała inne zagadnienie związane z przerabianą lekturą. W każdej grupie były zarówno osoby elokwentne, jak i – rzekłbym – mało „wymowne”. Do referowania problemu polonista wybierał kogoś słabszego. Na szczęście istniała możliwość uzupełnienia wypowiedzi przez kogoś innego z zespołu. Miało to znaczenie, bo wszyscy członkowie teamu dostawali tę samą ocenę. A potem była „burza mózgów”. Czasami iskrzyło, ale cel, czyli zainteresowanie uczniów lekturą zostawał osiągnięty i choć ciuteczek wiedzy pozostawało w głowie. Psor przed rozpoczęciem omawiania książki gruntownie sprawdzał znajomość treści. „Niezycytajko” odpadało. Streszczonek ustne czy pisemne też. Musiałeś przeczytać i koniec pieśni.

Dwa przedmioty spędzały nam sen z powiek. Jeszcze dzisiaj – po tylu latach – mój sen horror wygląda następująco: siedzę w ławce w czasie klasówki z matmy. Zadania do rozwiązania rozpisane na dwóch tablicach. A ja pocę się jak mysz pod miotłą, bo mam co prawda ściągę w kieszeni, ale Franek stoi obok mojej ławki i z pomocy naukowych skorzystać nie sposób. A czas płynie i płynie. Brr... Gdy po latach opowie-

działem o tym innym towarzyszym niedoli z naszej klasy, okazało się, że wiele (!) osób prześladowuje podobna mara senna.

Nasz matematyk uważał się za świetnego fizyka i nauczanie matematyki nie było tym, co ten tygrys lubił najbardziej. Gdy więc trafiło się nam wyjątkowo trudne zadanie, należało udać się po pomoc do klasy „B”, gdzie uczęszczał Wołodia. Był to chłopak o wyglądzie chłopca bardzo małorolnego, ale pod nierówno obciętą grzywką krył się umysł matematycznego geniusza. Podawałeś mu kartkę z zadaniem, Wołodia rzucał okiem na zadanie, potem na ciebie – wzrokiem wyrażającym zdziwienie i politowanie zarazem – i pytał: „Takiego czegoś nie umiesz rozwiązać?”. Po czym machał rozwiązaniem w tempie ekspresowym. Małą zagwozdką był fakt, że matematykiem był świetnym, ale wytłumaczyć toku rozumowania już nie potrafił.

Drugą kobyłą do przełknięcia w każdym tygodniu – konkretnie w czwartki – była chemia. Zwłaszcza my, chłopaki z D-klasy toczyliśmy ciężkie boje, bo było nas w grupie niewielu.

Gdy miałeś pecha (czytaj: nie nauczyłeś się), mogłeś za jednym dwulekcyjnym posiedzeniem skasować trzy niedostateczne (inaczej „lufy”, inaczej „banie”, inaczej „łabędzie”). Za co? Za odpowiedź, kartkówkę i doświadczenie chemiczne. Chemiczka wzbudzała respekt, mimo że nigdy nie krzyczała i nie była złośliwa. Miała dwie duże zalety: umiejętnie wprowadzała nas w świat skomplikowanych reakcji chemicznych i – co ważne – była sprawiedliwa. Używając terminologii sportowej, u niej „nazwiska nie grały”.

Rozmawiając o belfrach, używaliśmy nazwisk, ale oczywiście wiele osób miało przezwiska czyli „ksywki”, jak: Dzidzia, Ptica, Kura, Kasia, Franek, Kazek, Szymek, Sokół czy Józek.

Pewnego dnia w progu pokoju nauczycielskiego pojawił się ojciec jednego z uczniów. Po chwili ryknął na cały głos:

„Czy zastałem profesora Sztyfta?”. Konsternacja była ogólna, bo belfer, o którego chodziło, był na sali – tylko pociecha nie podała tatusiowi nazwiska szacownego pana profesora.

Najbardziej lubianym psorem był nasz fizyk zwany Kubą. Luzak o dużym poczuciu humoru, traktował nas po partnersku. Świetnie zdawał sobie sprawę, że wszyscy newtonami nie będziemy. Dlatego pierwszy rząd ławek był przeznaczony dla koneserów, którzy zamierzali zdawać fizykę na egzaminach wstępnych na studia. Osoby te musiały umieć więcej, ale też Kuba „stawał na uszach”, żeby ich dobrze wyedukować. Dziś taki podział jest czymś oczywistym, wtedy był czymś wyjątkowym.

„Profesorem od Gwiazd”, czyli naszym astronomem, był młody nauczyciel, który w ciągu tej jednej w tygodniu lekcji próbował nas czegoś nauczyć. Jedną z koleżanek uwielbiała go konfundować pytaniami w rodzaju: „Czy podoba się panu moja nowa bluzeczka, panie profesorze?”. Albo: „Kolega R. chciałby mnie pocałować, a ja nie chcę. Co mam zrobić, panie profesorze?”. Pan profesor płonił się jak piwonia i już było po lekcji.

„Dzieci, żebyście tylko napisali tę maturę” – martwiła się nasza nowa, młodziutka polonistka. „Odpiszemy, pani profesor” – uspokajaliśmy Profesora Gosię.

Każdy z absolwentów opowiedziałby takich anegdotek wiele.

Osobą z zupełnie innej bajki był ksiądz nauczający przez 40 lat (!) religii w bursie. Nazywano go Duszą, pewnie ze względu na dobrotliwość. Był wyrozumiały i wszechstronnie wykształcony.

My, czyli szara maść uczniowska

Przez cztery lata byłem „Deciakiem” czyli uczniem klasy „D”. Liczba uczniów naszej klasy zmieniała się nie tylko co roku, ale znacznie częściej. Jakoś tak dziwnie się składało, że jeśli ktokolwiek został wyrzucony z którejś z równoległych klas, innej szkoły czy był „spadochroniarzem” (powtarzał rok – częste wtedy zjawisko), to lądował u nas. Wchłanialiśmy wszystkich jak gąbka. Był moment, że w klasowym dzienniku widniało 40 nazwisk.

Zestaw był kolorowy, zróżnicowany i nieokiełznany. Mieliśmy spory potencjał intelektualny, ale korzystaliśmy z niego z umiarem (może nie chcieliśmy się „wypstrykać” przed studiowaniem – żarcik taki). Dziewczyn (oczywiście pięknych) było dwa razy więcej niż nas – „młodych gniewnych”. Część osób pochodziła z Bochni (12, może 14), część z Wiśnicza z przyległościami, a pozostali – powiedzmy ładnie – z terenów willowych prawie całego powiatu bocheńskiego. Z tego powodu nauczyciele – zwykle – nie sprawdzali obecności na pierwszej lekcji. Mijało się to z celem, gdyż co i rusz otwierały się drzwi i następna fala przybyszów owiana wiatrem wkraczała do naszego Gabinetu Języka Rosyjskiego (tak oficjalnie nazywała się nasza sala lekcyjna). Gabinet ten był powodem do dumy naszej wychowawczynie – „Pani od Rosyjskiego”. Język rosyjski, zwany językiem obcym, takim – czyli zupełnie obcym dla nas – przez cztery lata pozostał (na maturze nie było konieczności zdawania języka innego niż ojczysty; ja zdawałem angielski, bo chciałem).

Wychowawczynie walczyła o nas (a raczej nasze oceny) jak lwica i usprawiedliwiała nasze nieobecności na potęgę. Trzeba wiedzieć, że było co usprawiedliwiać, wyznawaliśmy bowiem

zasadę, że przyjemności (czytaj: pobyt w szkole) należy umiejętnie dozować. Osobiście języka naszych wschodnich „przyjaciół” nauczyłem się w ciągu dwóch lat na studiach. Moim lektorem był postrach uczelni – szef Katedry Języków Obcych, który na pierwszych zajęciach po polsku powiedział dwa (!) zdania: „Wiem że Państwo po ośmiu latach nauki nic nie umiecie. Ale JA (!) was nauczę”. Obietnicę spełnił!

Cud niepamięci stępił ostrość postrzegania tamtych lat, jednak nie pomyłę się wiele, gdy powiem, że lubiliśmy się wtedy i lubimy się dzisiaj. Jeśli ktokolwiek z naszej „budy” poprosi cię o cokolwiek – to powodowany odruchem sympatii i sentymentu, prośbę spełnisz.

Spotykamy się *ad hoc* kilka razy w roku i nikt nikogo na siłę nie „ciągnie za język”. Po prostu cieszysz się, że jesteś z tymi ludźmi. Jak to nazwać? Warto to czuć – nie nazywać.

„Siedzą, piją, lulki palą” – czyli życie towarzyskie i uczuciowe

Zasada *carpe diem* nie była nam obca i staraliśmy się korzystać z życia, jak się tylko dało.

Towarzystwo można się było udzielać zarówno w szkole, jak i poza nią. Już pójście do toalety było czynnością towarzyską. Toaleta na pierwszym piętrze była używana tylko zgodnie ze swym przeznaczeniem. Ale już ubikacja na drugim piętrze była salonem, miejscem prowadzenia interesów, wymiany plotek i poglądów oraz złapania tytoniowego „oddechu”.

Prowadzono tam też grę towarzyską z naszym psorem od fizyki. Gdy wkraczał do przedsionka (gdzie znajdowały się umywalki), krzyczał na cały głos: „WCHODZĘ!”. Gapy zła-

pane z papierosem musiały (a raczej musieli) sprzątać cały „lokal” (a było co sprzątać). Fizyk nie „kablował”, więc tylko idiota miałby pretensje. Drzwi „salonu” od strony wewnętrznej zdobił rysunek (prawie jak Modigliani), w którym ktoś wydułbał dziurę – wizjer.

Panie prawdopodobnie korzystały z toalet według tego samego schematu. Czasem, gdy któraś z dam otwierała drzwi, smuga dymu wylatywała i malowniczy woal unosił się po korytarzu. Belfrowie pełniący dyżur w czasie przerw z reguły cierpieli na chwilowy „zanik wężu”.

W czwartej klasie Dyr zezwolił na cotygodniowe „dyskoteki”. Warunki były dwa: sami siebie pilnujemy i „załatwiamy” obecność jednego profesora, pod którego kuratelą będziemy się bawić. Zawsze była to ta sama osoba – nauczyciel, który wolał spędzić sobotni (sobota była normalnym dniem lekcyjnym) i niedzielny wieczór w szkole, oglądając telewizję i pijąc kawkę i „lemoniade” niż relaksować się na łonie rodziny. Imprezy odbywały się w sali na dole zwanej Krematorium (ze względu na kraty w oknach). Dodatkowo „pilnował” nas portier zwany Inczu-czuna (przezwisek – pokłósie książek i filmów o wodzu Apaczów Winnetou).

Ogłoszenia czytane w czasie lekcji we wszystkich klasach kategorycznie, ale to kategorycznie i bezwarunkowo zabraniały uczniom chodzenia do lokali i dlatego większość starszoklasistów chodziła do Regisu (prawie codziennie). Lokal znajdował się w Rynku, a patrząc przez okno, mogliśmy „doładować się” patriotycznie, oglądając marsowe oblicze króla, co to zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną. Dlaczego tam? Z kilku powodów. Przyjaźnie nastawieni, „życiowi” właściciele, muzyka, którą sami przynosiliśmy,

smaczne przekąski (np. tatar inwalida) i – jak mówią Anglicy – *last but not least* – niskie ceny.

Wyboru zresztą nie mieliśmy wielkiego. Jubilatka – za droga, za oficjalna i zbyt ryzykowna (belfrowie), Kaprys – tak-sówkarsko-cinkciarski, Barbórka – zbyt plebejska, a inne „lokale” to były mordownie, do których można było wejść, ale już z wyjściem byłyby kłopoty.

Pewnego dnia do Regisu wparowało dwóch profesorów. Weszli i zasiedli przy stoliku obok drzwi. Panowie zajęli się kawusią, a my zajęliśmy się biciem rekordu Guinnessa w konkurencji „największa liczba facetów w jednej męskiej ubikacji” (lokal nie posiadał tylnego wyjścia). Panowie wypili, zapłacili i wyszli.

Z uroków życia towarzyskiego korzystaliśmy głównie my – bochnianie. Życiem osób dojeżdżających rządził rozkład pociągów i autobusów, gdyż samochody mieli nieliczni (Syrenka – mydelniczką zwana lub mały Fiat na talony), a busów nie było wcale.

Dojazd do i ze szkoły, nauka w domu, sześć lekcji w szkole i „pomoc” w gospodarstwie – na to wszystko dojeżdżający musieli mieć siłę i czas (dzieciństwo spędziłem, mieszkając w wiejskiej szkole, więc widziałem, jak ciężko niektórzy rówieśnicy harowali na roli). Krótko rzecz ujmując: Kapelusze z głów! (młodzi mówią: szacun!).

Bawiliśmy się również na prywatkach, często według zasady: „starych nie ma, chata wolna”. Czy pito alkohol i czy dużo? Skoro cały kraj był rozpijaczony – piła też młodzież, przy czym sądzę, że nie piliśmy dużo, a wiele osób wcale. Byli tacy, którzy szpanowali, opowiadając o pijackich wyczynach, ale były to częściej opowieści o „siedmiu zbójcach” niż fakty.

Piwo nie było tak dostępne jak dzisiaj, „czyściocha” marnie smakowała, a winka z Węgier czy innych demoludów (plus

nasze „J 23” czy inne „siary”) też nie zawsze zaspokajały nasze wysublimowane gusta. Czyli piło się, ale z umiarem. Gdy ktoś miał osiemnastkę – stawiał znajomym wino w Regisie (gdy brakło kasy, padało hasło: „Panowie, zegarki na stół!”).

Z okazjami towarzyskimi wiązały się sprawy uczuciowo-emocjonalne. Pary się kojarzyły, „chodzono” ze sobą, „podrywano” się i zrywano ze sobą. Prawie każdym z nas targały „wichry namiętności”. Jedni byli jak motyle – z kwiatka na kwiatek, inni mimo młodego wieku zakochiwali się „na zabój” i na lata. Kilka szkolnych par do dziś stanowi wzorzec dobranego małżeństwa.

W czasie studniówki w sali BKS-u na Parkowej w pewnym momencie zobaczyliśmy stojącego na balustradzie nad salą jednego z kolegów. Wyglądało na to, że chce skoczyć. Nie wiadomo, czy lądowanie planował na dwie nogi czy z efektownym telemarkiem. Na szczęście (w ostatniej chwili) komuś udało się śmiaćka spacyfikować (fizycznie był offermą – ale jakie serce!).

– Idioto, czemu chciałeś skoczyć? – pytano.

– Bo się założyłem z dziewczyną! – brzmiała odpowiedź.

O co się założył, pozostaje jego słodką tajemnicą do dziś.

Ja sam miałem (będąc w klasie maturalnej) dziecinno-infantylny zwyczaj. W czasie lekcji podchodziłem do drzwi jednej z klas i przez dziurkę od klucza zaglądałem do środka. Po drugiej stronie widziałem delikatny profil dziewczyny. Gapiłem się (wzmacniając moje nadwątlone ego), podziwiając moją sympatię. Kiedyś na wyżej wymienionej czynności złapał mnie jeden z belfrów. Zaskoczony i oniemiały wskazałem na otwór. Rzucił okiem.

– Rozumiem – powiedział i odszedł.

Chcąc „bywać”, musiałeś jakoś wyglądać – czyli założyć coś na swe grzeszne ciało. Chodziło głównie o jeansy i kurtkę. Ale nie o polskie „podróby” z tzw. teksasu, ale o Rifle lub Wranglery.

Ci, którzy mieli rodzinę za granicą, nie mieli z tym problemu. Reszta już tak. Można było kupić spodnie w Peweksie lub komisie, ale „Kasa, misiu, kasa!”. Rifle kosztowały ok. 20 dolarów, czyli więcej niż miesięczna pensja. Rodzice nie dali. Więc co? Zarobić! Gdzie? Na „wagonach”! Zbierała się ekipa kilku (czasem więcej) chłopaków i na bocznicę kolejowej trzeba było w nocy rozładować wagon z węglem, koksem lub cementem. Po kilku takich akcjach miałeś pieniądze, za które kupowałeś dolaru u „konia” i jechałeś do Peweksu (Kraków) po wymarzone gacie. Chodziłeś w nich wszędzie dwa, trzy lata, a łaty na jeansach były jak orderzy na wojskowym mundurze.

Pink Floyd, Fellini, Hemingway – czyli „koniki”

Słuchaliśmy muzyki namiętnie (głównie rockowej, hard rockowej i jazzowej). Marzeniem ściętej głowy było posiadanie zagranicznych płyt (jeśli nie miałeś tam rodziny).

Nie byliśmy pokoleniem pirackich pocztówek dźwiękowych („Każdy z nas ich 500 miał” – jak śpiewał Perfect). My byliśmy pokoleniem „Trójkowo-taśmowym”. Właśnie radio-wa „Trójka” była podstawowym źródłem kreującym nasz (nie tylko muzyczny) gust. Redaktorzy: Piotr Kaczkowski, Dariusz Michalski, Witold Pograniczny, Marek Gaszyński i inni kształtowali nas muzycznie. Audycje rozrywkowe: „60 minut na godzinę”, „Studio 202 z Wrocławia”, czyli panowie Fedorowicz, Wolski, Friedman, Kofta, Pietrzak, Kaczmarek, Zembaty i inni uczyli nas poczucia humoru, które pozwalało „oswoić” (absurdalną często) rzeczywistość. Pomimo upływu lat znaleźliśmy twórczość Kabaretu Starszych Panów niemal na pamięć. „Piractwo” muzyczne królowało niepodzielnie, więc płyty nadawano w całości.

Mini-max (minimum gadania, maximum muzyki). Szczęściarze posiadający magnetofony zapełniali (w ekstazie) zdobyte gdzieś taśmy (najczęściej ORWO lub BASF). Magnetofon w tamtych czasach to nie było byle co. Taka „zabawka” była droga (jak na kieszeń uczniaka) i bardzo trudna do kupienia.

Czasem do Bochni przyjeżdżali artyści z różnych muzycznych póltek, którzy występowali w kinie Jutrzenka (budynek obok kościoła). Pamiętam koncert Marka Grechuty z grupą Wiem czy występ kultowej (wtedy) węgierskiej grupy Omega (najwięksi desperados bez biletów próbowali wejść na piętro przez okno w ubikacji). Słuchało się, oj, słuchało! Ale też dzięki temu znaleźliśmy wiele płyt co do dźwięku. A trzeba dodać, że mieliśmy farta, bo na naszych uszach powstawały takie arcydzieła, jak: *Dark side of the Moon*, *Wish you were here* – Pink Floydów, *Tubular Bells* Oldfielda, płyty Zeppów, Purpli, Dylana (*Desire*) i wiele, wiele innych. Słuchaliśmy również radia Luksemburg przypominającego przypływ i odpływ morza (głos się zbliżał i oddalał). Radio to pozwalało być na bieżąco z aktualnymi „hiciorami” i jednocześnie szlifować angielski.

Kochaliśmy też kino. W naszej – cudownej urody miejscowości – kina były dwa: bardziej ekskluzywna Jutrzenka (nowe filmy) i z lekka „plebejska”, ale chyba bardziej lubiana Syrenka (luzik, ach ten luzik). Powszechnie lubiana pani kierowniczką opierała repertuar na filmach schodzących z ekranu (pożegnanie z filmem) i polskich klasykach, co pozwalało nam zobaczyć arcydzieła filmowe, których wcześniejsze obejrzenie było dla nas niemożliwe (gdy filmy te wchodziły na ekrany, byliśmy smarkaterią). I znów mieliśmy szczęście, bo tym razem niejako na naszych oczach tworzyli filmy magowie kina: Fellini, Visconti, Bergman, Kurosawa i inni. Mnie osobiście „wyrwały z butów” trzy filmy z tamtego okresu: *Godfather* (Coppola), *Cabaret* (Fosse) i *Amarcord* (Fellini). Chodzenie do

kina było – trochę – snobiarstwem, ale pozytywnym i rozwijającym intelektualnie. Bardzo często (!) spotykaliśmy w kinie naszych profesorów.

Otwieraliśmy wrota naszej percepcji, czytając książki (tak dziewczynki, jak i chłopcy). Nie mówię o lekturach, bo to oczywista oczywistość. Myślę o książkach czytanych dla radochy! Wielką zagwozdką była konieczność „zdobycia” wielu z pożądanых tytułów. Nie było internetu, ksero, e-czytników! (Jeju, jak myśmy żyli?!) Giełda książki w Krakowie, antykwariaty, znajomi lub czekanie w długiej (czasowo biorąc) bibliotecznej kolejce – takie były ewentualności (jak ja nie lubię słowa „opcja”). No, ale jak już dorwałeś czytadełko, to zostawało w tobie na długo. Co czytaliśmy? WSZYSTKO! (niemal).

Mój krąg znajomych gustował głównie w literaturze północnoamerykańskiej (Hemingway, Fitzgerald, Irving, Shaw i inni). Czytało się klasykę wszelaką: rosyjską, francuską, niemiecką czy skandynawską. Polscy pisarze – ci „nielekturowi” też byli w cenie (Dygat, Iwaszkiewicz, Iredyński – wcześniej uczeń naszego „ogóła”).

Na szczęście nie tylko duch nas interesował. Dla ciała robiliśmy wiele. W naszym pokoleniu grało się w piłkę od dziecka i to bez względu na to, czy byłeś sprawny czy byłeś łamagą. Wysportowany gość darzony był estymą wśród rówieśników i mógł być nawet „kujonem”. W szkole średniej było mniej czasu, a więcej obowiązków, ale i tak ćwiczyłeś lub grałeś w coś codziennie. Ogólniak miał maleńką salkę gimnastyczną (w bocznej niszy stał fortepian!), w której próbowaliśmy grać w siatkówkę. Linię stanowiła lamperia na ścianie (wysokość ok. metra), więc po zbyt ambitnej ewolucji buzią ryłeś w mur. W „nogę” graliśmy na „kortach”, a po lekcjach wszędzie, gdzie się dało („Handlówka”, „Piątka” itd.).

Elegancko mówiąc, „broniliśmy barw szkoły” w licznych rozgrywkach (z sukcesami). Wielu obecnych uczniów prawdopodobnie nigdy nie skakało w dal i wżwyz. My braliśmy udział w zawodach lekkoatletycznych (jeszcze na studiach potrafiłem przeskoczyć siebie stylem przerzutowym – flop dla amatorów był zakazany).

Wygrywaliśmy zawody sztafet 10 razy 1 km, rozwścieczając belfrów od WF-u z „Mechanika”, którzy gonili swoje „charty” po specjalnej trasie wokół szkoły. Było to głównie możliwe dzięki dwóm kolegom uprawiającym kolarstwo, którzy, gdy inni umierali na bieżni, dopiero się rozpędzali.

Czasem, idąc ulicą, widzę w oddali dychawicznego lub kuśtykającego staruszka, który gdy podchodzi bliżej, okazuje się – wiekowo biorąc – rówieśnikiem lub nawet kimś młodszym ode mnie.

– Cześć, Pele. Pamiętasz, jak graliśmy w piłkę? Daj piątkę na piwo! – mówi (przesadzając grubo z tym Pele, ale mile łechcąc moją próżność).

I dajesz! A oni idą do sklepu, a po chwili – cytując klasyka – „wprowadzają element baśniowy do szarej rzeczywistości” (Himilbach).

Matura, czyli kulminacja

Matura była przeżyciem, ale nie celem. Jeśli ktoś wybierał się do szkoły pomaturalnej – miał spokój. Ale większość z nas 1, 2 i 3 lipca miała stoczyć „bój” o indeks.

Właśnie egzaminy wstępne były realnym sprawdzianem naszej wiedzy (lub jej braku). Matura w tej sytuacji to był – jak się to teraz mówi – mały pikuś. Maturę musiałeś zdać, jeśli nie

byłeś „cienki jak barszcz” lub „niegrzeczny” (narozrabiałeś lub na przykład za wcześniej ujawniłeś, że wybierasz się do seminarium duchownego).

Pierwszym egzaminem maturalnym był pisemny język polski. Należało napisać rozprawkę na dany (zwykle przekrojowy) temat. Rekordzistka z naszej klasy miała przygotowanych ponad 40 (!) ściąg, kunsztownie pochowanych w zakamarkach ubrania i – że się tak wyrażę – ciała. Miała (oczywiście) „ściągnę matkę” (spis treści), bo inaczej, by się biedne dziewczynisko pogubiło w tym gąszczu wiedzy.

Po kilkunastu minutach od rozpoczęcia egzaminu dał się słyszeć sceniczny szept:

– Wszystkim złapały ściągi?

Nie wszystkim, ale akcja ratunkowa nadeszła i pechowcy dopłynęli do spokojnej przystani zwanej oceną pozytywną.

Przygotowanie „pomocy naukowych” było czynnością żmudną. Oznaczało tu wiele godzin z podręcznikami, najczęściej w czytelni w miejskiej bibliotece (nie było ksero czy innych wynalazków pozwalających na szybkie kopiowanie). Moja mama polonistka – przed egzaminem – dała mi swój stary akademicki podręcznik *Literatura polska* Wojeńskiego.

– Z tego się ucz, bo to „biały kruk”. Tej książki prawie nikt nie ma – poradziła.

Miała rację. (Dziękuję, Mamo). Na maturę poszedłem bez ściąg (prawie).

Drugim egzaminem pisemnym była matematyka. Wielu maturzystów przez pierwsze dwie godziny zajmowało się kontemplowaniem meandrów doli człowieczej. Dlaczego?

Po prostu czekali na rozwiązania. Źródła były dwa: wewnętrzne – rozwiązano zadania na sali, lub ewentualność ze-

wewnętrzna – umówieni specjaliści (studenci lub nauczyciele) rozwiążą co trzeba, po czym ściągi zostaną przemycone do klasy.

W czasie egzaminu wyszedłem do toalety (raz było wolno). Wszedłem i zobaczyłem kolegę z równoległej klasy, który w pełnym rynsztunku leżał na betonowej podłodze.

– Rysiek! Co się stało?! – ryknąłem przerażony.

– Te s... fajne chłopaki z E-klasy mieli mi tu zostawić ściągi. I nie ma! – wyjaśnił. „Tu” – znaczyło: pod olbrzymim garem, który był przeznaczony na wodę w razie awarii.

– Spokojnie, amigo. Które zadanka potrzebujesz? Bo mam wszystkie. Jedna rada: SPRAWDŹCIE, czy zadania są dobrze zrobione! – powiedziałem.

Rada była jak najbardziej uzasadniona. Część rozwiązań była zła! A wtedy – „sorry, Gregory”.

W naszej klasie mieliśmy w pewnym momencie kilka wersji rozwiązań każdego zadania. Konsternacja! Co zrobiliśmy? Zastosowaliśmy sposób Starszych Panów z kabaretu, czyli „wespół w zespół” i podzieliwszy się (dyskretnie) na grupki, zrobiliśmy zadania sami. Ktoś mógłby w tym momencie powiedzieć: „Przecież te głąby nic nie umiały!”. Duży błąd! Jeśli chciałeś dostać się na godziwe (!) studia – gdzie kandydatów było wielu na jedno miejsce – to musiałeś być dobry albo bardzo dobry. Bo inaczej – „My już Państwu dziękujemy!”. Jeśli byłeś gapą i w przypadku niepowodzenia w lipcu nie „załapałeś się” do szkoły pomaturalnej – to w październiku mogłeś w pełnym umundurowaniu czołgać się po piaszczystych wydmach Łeby (przyjemność ta trwała dwa lata i nie każdy gustował).

Po maturze pisemnej zdawało się jeszcze dwa egzaminy ustne (do wyboru, do koloru). Nasza klasa zdała maturę w komplecie. Inne klasy (chyba) też.

Zwieńczeniem, dniem radochy i fiesty, był komers zorganizowany w sali na Parkowej (podobnie jak studniówka).

Ja tam też byłem. Miód i wino (jedno na stół) piłem. Po brodzie mi kapało, a serce z żalu łkało.

I tym częstochowskim rymem kończę te szkolne wspominki. Dziękuję tym, którzy te nieudolne wycieczki przeczytali. Gdyby się ta pisanina komuś spodobała (choć trochę) – znaczyłoby to, że wprowadziłem w ruch „wiatraki moich wspomnień” nie na próżno.

„Chłopie, idź do jakiegoś technikum. Przynajmniej będziesz miał jakiś zawód” – czy starszy kolega miał rację?

PS

Tekst dedykuję wszystkim nauczycielom i uczniom LO w Bochni z lat 1972-1976.

Dziękuję mojej uczennicy Basi za to, że zachęciła mnie do napisania tych kilku stron.

Sławomir Wiśniewski
Uczeń LO 1972-1976
Klasa IV D – matura 1976

Liceum Ogólnokształcące im. Kazimierza Wielkiego w Bochni – mój drugi dom

„Gdy pierwszy raz stanęłam przed budynkiem tej szkoły, wydała mi się majestatyczna, przepiękna jakąś niezmierną energią. Nagle poczułam się zbyt niegodna, aby wejść do środka. Postanowiłam przynajmniej poprawić kołnierz płaszczka i starannie wytrzeć buty...”

Przyniesienie dokumentów do szkoły ponadgimnazjalnej było dla niej tak wielkim wydarzeniem, jak postrzyżyny dla legendarnego Ziemowita. Sama wybrała liceum oraz profil klasy i zrobiła pierwszy krok w stronę spełnienia swoich marzeń. Gdy kilka dni później zobaczyła swoje nazwisko wśród trzydziestu innych przyjętych szczęśliwców, musiała zrobić sobie zdjęcie na tle drzwi, na których wywieszono listę. Była tak poruszona faktem, iż znalazła się na wymarzonej biolchemie, że wracając do domu, wysiadła przez pomyłkę na wcześniejszym przystanku. Ostatnie dni wakacji minęły szybko i nadszedł oczekiwany pierwszy dzień w nowej szkole.

„Pierwszego września koło siódmej weszłam do wypełnionego ludźmi busa. Prawie wszystkie dziewczyny miały szpilki i nagle poczułam się strasznie źle w swoich ukochanych koronkowych baletkach...”

Na korytarzu pod salą polonistyczną zgromadził się tłum uczniów. Rozejrzała się we wszystkie strony, przypatrując się z zainteresowaniem nieznanym: chłopcom, którzy rozmawiali na temat jakiejś komputerowej gry, i dziewczynom o figurach modelek. Nagle jej wzrok padł na bardzo dziwną postać. Osoba ta siedziała na parapecie, miała krótkie, czerwone włosy, zielone słuchawki w uszach i przede wszystkim jako jedna z nielicznych – baletki. Dziewczyna nawet nie zauważyła, gdy „A” do niej podeszła. Zareagowała dopiero na lekkie trzepnięcie po ramieniu. Zmierzyła „A” niezbyt przyjaznym spojrzeniem, ale ta nie przestraszyła się.

– Mogę się przysiąść? – tak brzmiało zdanie, które zapoczątkowało wielką, nieśmiertelną przyjaźń.

„Gdy weszłam do sali polonistycznej, pierwsze, co wpadło mi w oczy, to wielki portret Herberta – mojego ukochanego poety, narysowany chyba przez jakiegoś ucznia. Uznałam to za dobry znak. Po latach mogę stwierdzić, że nie pomyliłam się...”

Klasa polonistyczna była przepelniona magią. Magią słów, wspomnień, ciekawych historii. Pokochała język polski. Po powrocie ze szkoły siadała przy stoliku i jej ręka machinalnie wypisywała na kartce najskrytsze myśli w formie rymowanej. To właśnie na tej lekcji w bocheńskim liceum poznawała coraz to nowsze tajniki literatury. Gdy klasa przerabiała *Dżumę*, autorytetem „A” stał się Rieux. Na podstawie zachowań bohatera odkryła, kim naprawdę jest lekarz, i że „najważniejsze to dobrze wykonać swój zawód”.

„Dzwonek zaterkotał mi nad uchem i znów wybuchnęłam śmiechem, gdy siedząca obok mnie czerwono-włosa koleżyna już raz mruknęła do mnie, że znów nie zdążyła zjeść swojej kanapki...”

Przerwy w liceum były czymś wspaniałym. Zabawa w „prawda czy wyzwanie” była klasycznym zajęciem w trakcie tych dziesięciminutowych pauz. Można było porozmawiać, pośmiać się, pospacerować po szkolnym korytarzu, pooglądać wspaniałe gazetki wiszące na ścianach.

Na ławeczkach siedziały pary, pod klasami odbywały się „korki” prowadzone przez bezinteresownych uczniów z różnych klas. W sklepiku można zawsze było kupić ciepłą bułkę z serem czy wodę po aktywnych ćwiczeniach na WF-ie. Jednak miejscem skupiającym wiele grup przyjaciół był parapet obok automatu z ciepłą herbatą i kawą. Szczególnie rano podczas zimowych miesięcy kolejka po ciepły napój osiągała gigantyczne rozmiary.

„Gdy po raz pierwszy weszłam do sali biologicznej, rzeczka, która od razu rzuciła mi się w oczy, był szkielet ryby znajdujący się za szybką. Trochę mnie brzydził. Następnego dnia dyskretnie rzuciłam na niego okiem. W ciągu kolejnych nie mogłam oderwać od niego wzroku. Dopadła mnie magia biologii.”

Sala 22 była niezwykłą salą. Gabloty wypełnione eksponatami, szkielet człowieka w kącie, mały aksolotl w akwarium, którego większość klasy „C” ochrzciła imieniem „Zosia”. To w tej sali „A” nauczyła się przyrządzać preparaty, poznała budowę rośliny, przestała brzydzić się owadami. W tym pomieszczeniu odbywały się prezentacje i lekcje, które odbierały jej mowę. Na biologii w liceum po raz pierwszy samodzielnie korzystała z mikroskopu, nauczyła się delikatnie czyścić szkiełka podstawowe, sprzątać swoje stanowisko pracy. Najlepszym zaś sposobem na „obudzenie się” było dziesięć przysiadów, do których wykonania (między kolejnymi częściami lekcji) zachęcała uczniów pani profesor.

„Gdy na WF-ie rzuciłam piłką lekarską na dwa metry, spodziewałam się złośliwych uśmiechów czy uwag. Zamiast tego moje przyjaciółki w uznaniu za mój wyczyn zaczęły mi bić brawo.”

WF był lekcją, za którą „A” w gimnazjum czy podstawówce nie przepadała. Nie lubiła grać w gry zespołowe, zawsze wybierana była na końcu, także gimnastyka nie była jej mocną stroną. W liceum pokochała wychowanie fizyczne. Pani profesor była wyrozumiała i dostrzegała każdy jej, nawet minimalny postęp. Motywowała ją do dalszej pracy, ćwiczeń. Przyjaciółki chwaliły ją nawet wtedy, gdy tak po prostu udało jej się przebić piłkę na drugą stronę siatki. Duża sala gimnastyczna była o wiele większa niż „A” się spodziewała, a siłownia stała się dla niej jednym z ulubionych miejsc w szkole. Długie spacerki, szczególnie w okresie wiosennym, były zaś dobrą okazją, żeby tak po prostu porozmawiać, pośmiać się i pobiegać.

„Gdy weszłam do busa drugiego dnia szkoły, usiadłam obok chłopaka z mojej klasy, z którym nie zdążyłam porozmawiać na rozpoczęciu roku. Zadał mi pytanie, trochę bez sensu:

– Jedziesz do szkoły?

A ja, z moim plecakiem na plecach i butami w reklamówce, powstrzymałam się od śmiechu i pokiwałam głową. Kontakt został natychmiast nawiązany.”

Znajomość z tym chłopcem zaczęła się już drugiego dnia szkoły. Wydał się jej bardzo sympatyczny, może trochę niezbyt pewny siebie. Nie spodziewała się nawet, że to właśnie z tą osobą zaprzyjaźni się tak bardzo, że będą utrzymywać ze sobą kontakt nawet już podczas studiów. Do dziś może rozmawiać z nim godzinami przez telefon, zwierzać mu się ze swoich sekretów czy po prostu powspominać czasy liceum. Za każdym razem, gdy się spotykają, z sentymentem mówią o szkole, któ-

ra przecież stała się miejscem ich wspólnych zabaw i wygłupów. Zdjęcia z półmetka i studniówki, na które poszli razem, każde z nich trzyma w specjalnych miejscach w swoich pokojach. Mogą zawsze na siebie liczyć. Najlepiej chyba pasuje do nich określenie „pokrewne dusze”. Połączyła ich bowiem wspólna pasja – biologia.

„Inni ludzie w podziwiewie dla swoich idoli ubierają się w koszulki z ich podobizną czy słuchają takiej samej muzyki, jak oni. Ja po prostu zaczęłam czesać włosy we francuza.”

Olimpiada biologiczna była dla niej cudownym przeżyciem. Odmieniła jej życie. Kółka prowadzone przez panią profesor sprawiały, że coraz bardziej interesowała się biologią. Olimpiada była jej szansą, a nauka do niej była czystą przyjemnością. „A” pochłaniała kolorowe strony prawie 1300-stronicowej książki napisanej przez Campbella, którą uczniowie, jak i sama pani profesor, żartobliwie nazwali „maleństwem”. Na kółku poznała też przyjaciółkę – imienniczkę i *Jego*. To on zachęcił ją do wystartowania w olimpiadzie, zaproponował jej nawet, że podpowie jej temat pracy badawczej. Etap szkolny, następnie II etap w Krakowie i ostatni w Warszawie – wszystko było jak sen. To dzięki liceum w Bochni nauczyła się walczyć ze swoimi słabościami i pokonywać trudności. Olimpiadę zapamięta z pewnością do końca życia.

„Ostatniego dnia szkoły pożegnałam się ze wszystkimi. Tusz służył mi po policzkach, tak strasznie nie chciałam opuszczać tego liceum. Tu nawiązały się przecież pierwsze przyjaźnie, tu poznałam wspaniałych nauczycieli, z tą szkołą wiązały się wszystkie wspaniałe wspomnienia. Wychodząc z liceum, pomyślałam, że nie pożegnałam się jeszcze z samym budynkiem. Z tym miejscem, które tak ważną rolę pełniło w moim życiu. Stałam więc po prostu

przed popiersiem Słowackiego i zsalutowałam mu. Wieczorem długo nie mogłam zasnąć. Gdy zamykałam oczy, wydawało mi się, że dalej słyszę głosy zabieganych uczniów: Piszemy coś dzisiaj? Gdzie mamy lekcje? Było coś na zadanie?”

Katarzyna Krotos

Rozmowa z ks. Zbigniewem Kępą – absolwentem Liceum Ogólnokształcącego

„...czas wielkiej przygody intelektualnej, zdobywania samodzielności życiowej, zaradności i poznawania świata...”

Ksiądz mjr dr Zbigniew Jan Kępa urodził się 8 grudnia 1960 roku w Żegocinie. Szkołę podstawową ukończył w swojej rodzinnej miejscowości. Edukację kontynuował w Liceum Ogólnokształcącym im. Kazimierza Wielkiego w Bochni.

Ksiądz dr Zbigniew Kępa jest autorem m.in. książek: *Marksizm i ewolucja* (Tarnów 1999), *Wybrane zagadnienia z etyki Straży Granicznej* i różnorodnych artykułów.

Pytany o możliwość przeprowadzenia wywiadu, odpowiedział: „Chętnie udzielę odpowiedzi na zadane pytania, które dla mnie są jeszcze jedną okazją do powrotu do czasu nauki w bocheńskim liceum i dokonania krótkiego podsumowania z pewnego już dystansu wiekowego”.

Dlaczego Ksiądz wybrał I LO w Bochni?

W ósmej klasie rozważałem możliwość nauki w Technikum Mechanicznym w Bochni, które miało dobrą opinię i dawało możliwość pracy po jego ukończeniu. Jednak ostatecznie zwyciężyło umiłowanie przedmiotów ścisłych, zwłaszcza matematyki, fizyki, a później także i chemii. Liceum Ogólno-

kształcające w Bochni dawało możliwość zdobycia szerszej i głębszej wiedzy aniżeli inne szkoły.

W którym roku rozpoczął Ksiądz edukację w I LO? Czy państwo zapewniało warunki do godnej edukacji?

Naukę w I Liceum Ogólnokształcącym rozpocząłem w 1975 roku, zaś zakończyłem w 1979. Nauka była bezpłatna, co było ważne dla mnie, osoby pochodzącej z niezamożnej rodziny. Nie musiałem korzystać z korepetycji, co dobrze świadczyło o kadrze pedagogicznej i umiejętnościach nauczania. Problemem było niewystarczające wyposażenie pracowni, co profesory nadrabiali pomysłowością i dużą porcją wiedzy teoretycznej. Z powodu ograniczonej liczby miejsc w internacie miałem problem, aby się do niego dostać. Ostatecznie miejsce znalazłem, będąc w drugiej klasie, dzięki pomocy wychowawcy.

Jaki profil Ksiądz wybrał i dlaczego?

Wybrałem profil matematyczno-fizyczny ze względu, jak już to podkreśliłem, na zamiłowanie do przedmiotów ścisłych. Chciałem też kontynuować studia w tym kierunku. Ostatecznie dokonałem jednak innego wyboru – studia w Wyższym Seminarium Duchownym w Tarnowie.

Ilu uczniów liczyła klasa?

Liceum ukończyło 24 uczniów.

Jak wspomina Ksiądz szkołę?

Był to czas wielkiej przygody intelektualnej, zdobywania samodzielności życiowej, zaradności i poznawania świata. Wiele też zawdzięczam związanym wtedy przyjaźniom i koleżeństwu.

Jak wyglądał zwykły dzień nauki szkolnej?

Przez dwa lata rozpoczynałem zajęcia szkolne po południu, przez kolejne dwa przed południem. Zmuszało to do wypracowania sobie strategii nauki i odpoczynku. Zajęcia prowadzone były także w soboty, chociaż krócej. Trzeba jeszcze pamiętać, że nauka katechezy była przed czy też po zajęciach. Bywało tak, że religię rozpoczynaliśmy o godz. 7.00 rano. Dawało to okazję do ćwiczenia się w planowaniu dnia, wczesnym wstawaniu i poświęcenia w imię wybranych ideałów i wartości. Dużym zainteresowaniem cieszyły się ciekawe dyskusje na języku polskim, eksperymenty fizyczne z p. prof. Kielarową, chemiczne z p. prof. Z. Gnoińską. Nie zabrakło też majsterkowania na zajęciach technicznych.

Jaki był Księdza ulubiony nauczyciel i dlaczego?

Dużym szacunkiem darzyłem prof. Kielarową, nauczającą fizyki. Imponowało mi zastosowanie matematyki do odkrywania praw fizyki i wyjaśniania fizycznego świata. Dużym autorytetem był dla mnie ks. Władysław Czapliński – katecheta.

Czy ówczesnych uczniów obowiązywał specjalny ubiór? Jak był on respektowany?

Naszym strojem był szkolny garnitur. Można było dyskutować o kroju tegoż garnituru, ale trzeba było go nosić. Nie było to dla nas problemem. Do tego obowiązkowo tarcza szkolna. Nie miałem problemów, aby się temu podporządkować. Szkolny ubiór nie pozwalał na rewię mody, co było o tyle ważne, że niektórych nie stać było na markowe ubrania.

Wydarzenie, którego Ksiądz nigdy nie zapomni?

Na pewno matura i świadomość, że od niej zależy dalsza moja przyszłość. Także pewnego rodzaju odpowiedzialność, żeby cała klasa wypadła dobrze na maturze, zwłaszcza z matematyki, która była obowiązkowym przedmiotem. Mile zapisały się w pamięci takie wydarzenia, jak wycieczka w Góry Świętokrzyskie czy też kulig, który udało mi się zorganizować w mojej rodzinnej miejscowości dla całej klasy.

Jak nauka w Liceum wpłynęła na dalsze życie Księdza?

Nauka w Liceum dała mi podstawę pod dalszą edukację. Dzięki niej skończyłem z dobrym wynikiem Seminarium Duchowne, po jakimś czasie obroniłem doktorat, którego tematem były aspekty przyrodnicze, filozoficzne i teologiczne teorii ewolucji.

Jak potoczyły się dalsze losy Księdza po zakończeniu szkoły?

Po zdaniu matury wstąpiłem do Wyższego Metropolitalnego Seminarium Duchownego. Po miesiącu musiałem prze-rwać studia, ponieważ zostałem wezwany do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Ówczesna władza na taką konieczność skazywała część alumnów według znanych sobie kryteriów. Po święceniach kapłańskich zostałem skierowany do pracy duszpasterskiej w Nowym Sączu w parafii pw. św. Heleny, a później św. Kazimierza. Tam też zostałem poproszony o opiekę duszpasterską nad żołnierzami. Zostałem kapelan Ordynariatu Polowego w 1991 roku. W 1996 roku zostałem przeniesiony do Kętrzyna, do Centrum Szkolenia Straży Granicznej i Warmińsko-Mazurskiego Oddziału Straży Granicznej. Od 2004 roku pracuję w Warszawie. Pełnię obowiązki w kurii Ordynariatu Polowego. Jestem dziekanem Straży Granicznej.

Czy klasa organizuje spotkania klasowe po liceum?

Klasa organizowała regularnie – co pięć lat – spotkania. Niestety, z różnych przyczyn nie udało się zorganizować spotkania w 35. rocznicę zdania matury. Mam nadzieję, że uda się nam spotkać w 40. rocznicę matury.

Mieszkał Ksiądz w internacie. Jakie wspomnienia się z tym wiążą?

Od drugiej klasy mieszkałem w internacie Technikum Mechanicznego w Bochni. Dobrze wspominam ten czas. Miałem dużo czasu na indywidualną naukę i rozwijanie swoich zainteresowań. Tu przeżyłem wybór Karola Wojtyły na papieża. Towarzyszyła nam wtedy wielka radość. Zaprawiałem się też w działalności społecznej, uczestnicząc w klubie dyskusyjnym i pomagając innym w nauce, zwłaszcza w matematyce. Raz w tygodniu wychodziłem wcześniej rano, aby pełnić posługę ministranta i lektora w kościele św. Mikołaja. Zwróciło to uwagę wychowawców. Na szczęście dla mnie pojawił się komentarz, że chodzę raz w tygodniu na jarmark. To było „bezpiecznym” wyjaśnieniem mojej porannej nieobecności. Zaangażowanie religijne uczniów nie było wtedy mile widziane. Jednakże z tego powodu nie miałem nigdy jakiegось kłopotu czy trudności. Internat nauczył mnie życia w społeczności i ustępstw na rzecz innych. Dawał też okazję do nawiązywania znajomości.

Rozmowę przeprowadziła Katarzyna Madej

Rozmowa z Janiną Kęsek – absolwentką Liceum Ogólnokształcącego

Dziś będę miał przyjemność przeprowadzić rozmowę z Panią Janiną Kęsek, która ponad 50 lat temu chodziła do Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni.

Dzień dobry! W jakich latach chodziła Pani do szkoły?

Do Liceum Ogólnokształcącego w Bochni chodziłam w latach 1960-1964.

Do jakiej klasy Pani chodziła? Jakie były Pani ulubione przedmioty?

Kiedy ja chodziłam do szkoły, klasy nie były profilowane – wszystkie klasy miały charakter ogólny, ale ponieważ miałam zdolności i zamiłowanie do przedmiotów humanistycznych, to oczywiście preferowałam przedmioty humanistyczne, bardzo lubiłam też fizykę, biologię.

Czy należała Pani do jakichś grup pozaszkolnych?

Oprócz nauki, w szkole dość powszechne było harcerstwo – teraz wydaje mi się, że jest dużo mniej powszechne. Wtedy bardzo dużo moich koleżanek razem ze mną należało do harcerstwa, należałyśmy do drużyny, która istniała przy naszym Liceum. W ciągu wakacji spędzałam razem z innymi harcerza-

mi miesiąc na obozach harcerskich. Było to dla mnie wielkie przeżycie, ponieważ w moich czasach nie było takich możliwości wakacyjnych jak teraz. Nie było mowy o żadnych zagranicznych koloniach. Obozy były dla mnie bardzo wartościowe. Całym sercem angażowałam się w działalność harcerską.

Jak wspomina Pani lata szkolne?

Lata szkolne wspominam bardzo miło, szczególnie z perspektywy lat. Nawet to, co wtedy wydawało mi się męczące czy straszne, jakaś trauma przed kartkówką czy sprawdzianem, z dystansu lat wspominam bardzo sympatycznie. Na pierwszy plan wybijają się humorystyczne wspomnienia. Dla mnie lata młodości były najpiękniejsze, bardzo atrakcyjne, czasy licealne były dla mnie dużo miłsze niż studenckie. Byłam w domu rodzinnym, wśród bliskich, później na studiach byłam na stacji – była to dla mnie nowa, nawet dość przykra sytuacja. Natomiast w szkole czas był bardzo beztroski. Jedynymi troskami było niezłapanie „dwóji” i to, żeby dobrze wypaść na sprawdzianach. W zasadzie tylko to ewentualnie mąciło spokój i radość każdego dnia. Miałam miłe grono koleżanek, kolegów, bardzo sympatyczny skład całej klasy.

Czy nadal utrzymuje Pani kontakt ze swoimi kolegami i koleżankami z tamtych lat?

Tak, oczywiście. Tradycją tej naszej szkoły są zjazdy koleżeńskie. Wiem, że dużo szkół takich zjazdów nie organizuje, u nas one są od lat. Chyba od powstania tej szkoły tradycją było, że absolwenci spotykali się przeważnie w odstępach pięcioletnich. U nas pierwszy zjazd był 10 lat po maturze, potem już co 5 lat kolejne zjazdy. W tamtym roku mój rocznik miał 50-lecie matury i było naprawdę miło po tylu latach

znowu spotkać się w klasowym gronie. Mam bardzo częsty kontakt z koleżankami z Bochni, natomiast z tymi spoza Bochni utrzymujemy kontakt telefoniczny lub piszemy do siebie listy. Przed laty bardzo się ucieszyłam, bo przez internet, na Naszej Klasie odezwała się koleżanka, z którą się urwał po maturze kontakt, ponieważ ona wyjechała do Stanów. Teraz piszemy do siebie listy, wysyłamy zdjęcia naszych dzieci i wnuków, opowiadamy o sobie.

Czy uważa Pani, że lata licealne miały duży wpływ na Pani życie?

Uważam, że ogromny. Wtedy, gdy człowiek kształtuje swoją osobowość, tworzy własną hierarchię wartości, to to, co szkoła mi dała, miało dla mnie duże znaczenie. Wprawdzie były to ciężkie lata, lata komunizmu, lecz było to całkowicie równoważone przez to, co dawał mi dom, co dawał nam nasz katecheta, ks. Czapliński, i ja uważam, że szkoła, ten czas i ten katecheta ukształtowali mnie. Jeżeli zaś chodzi o wybór studiów, to niekoniecznie, dlatego że ja przed maturą wahałam się pomiędzy filologią polską, filologią rosyjską i historią. Zdecydowałam się na historię, jednak to nie przez szkołę. Program nauki historii w szkole w tamtych czasach nie był atrakcyjny, lansowało się ze względów ideologicznych i politycznych pewne tematy, które dla mnie nie były specjalnie interesujące. Wybrałam historię pod wpływem opowieści mojego Dziadka, tego, jak umiał on nas historią zainteresować. Mówiąc „nas”, mam na myśli mnie i moje rodzeństwo. Opowiadał nam wiele z historii Polski, rozbudzał tym naszą wyobraźnię i wzbudzał w nas zamiłowanie do historii.

Czy zauważa Pani jakieś różnice pomiędzy tamtymi czasami a obecnymi?

Różnice są ogromne, od czasów mojej nauki do czasów nauki mojego wnuka minęło pół wieku. Zmieniło się bardzo wiele rzeczy, nawet język, którego używaliśmy w szkole. Dzisiaj mało kto mógłby wiedzieć, kto to jest „tercjant”, co to jest „westibul”, co to znaczy, że „kurenda chodzi po klasach”. Wtedy te rzeczy były używane na co dzień i nikt się tym słowom nie dziwił. Kolejną różnicą jest to, że w moich czasach obowiązkowy był mundur szkolny. Było to egzekwowane, od czasu do czasu były tak zwane „naloty” i nie wpuszczano do szkoły osób, które nie miały przyszytej tarczy do rękawa kurtki czy płaszcza. Mundurki były czarne lub granatowe z białym kołnierzykiem, dla mnie nie był to żaden przykry przymus, uważam, że była to wspiana rzecz, ponieważ status majątkowy rodziców uczniów był bardzo różny. Miałam koleżanki tak z rodzin bardzo bogatych, jak i biednych, gdzie kupno eleganckiej sukienki dla dziewczyny byłoby naprawdę wielkim wydatkiem. Wszystkie miałyśmy jednakowe fartuszki i nie było możliwości oceniania wartości drugiej osoby po tym, w co jest ubrana. Chodzenie w mundurku nie sprawiało mi żadnej przykrości. Jak myślę o moich szkolnych latach, to w roku szkolnym chodziłam w mundurku szkolnym, a w wakacje chodziłam w mundurze harcerskim. Bardzo mało miałam okazji do chodzenia w swoich sukienkach. Nie żałuję, że tak było. W moich czasach były wysokie wymagania co do uczesania, mowy nie było o jakimkolwiek farbowaniu włosów czy makijażu, broń Boże! Za makijaż czy farbowane włosy można było zostać wyrzuconym ze szkoły. Poza tym była bardzo duża powściągliwość w relacjach damsko-męskich, nie było mowy o tworzeniu się w szkole par, nie było mowy o randkach. Jeże-

li były, to zakochani nie obnosili się z tym, a nawet się ukrywali. Jak patrzę na dzisiejsze licealistki i porównuję to do mnie i moich koleżanek, to my byłyśmy bardzo nieśmiałe, nasze relacje z kolegami były koleżeńskie i serdeczne, jednak na pewno nie było to nic więcej niż tylko relacje koleżanka – kolega. Jak ja widzę, jak dzisiaj chodzą dziewczynki do szkoły: wymalowane usta, i paznokcie, i włosy farbowane, przeróżne fryzury, nie mówiąc już o stroju, to stwierdzam, że jednak wołałam nasze czasy.

Co młodzież robiła dawniej w wolnym czasie?

Nie mieliśmy takiej oferty jak młodzież ma teraz, nie mieliśmy internetu, nie mieliśmy też możliwości takiego rozwoju sportowego, nie było basenu, boisk. Jedyłą naszą atrakcją było kino, ale tu również dyscyplina szkolna bardzo nas ograniczała. Bardzo się pilnowaliśmy, by nie pójść na film od 18 lat, zresztą zawsze przed seansem sprawdzana była legitymacja szkolna. Można było zostać niewpuszczonym na seans, nawet jak się miało kupiony bilet, obowiązywała też godzina, do której można było przebywać na ulicach samemu – była to godzina 9.00 wieczorem, później przebywać można było tylko z rodzicami. Nie wolno nam było bywać w lokalach, ale nam to jakoś nie przeszkadzało. Organizowaliśmy tak zwane prywatki, bawiliśmy się, tańczyliśmy, byliśmy szczęśliwi, radośni i to, co było w ramach dozwolonych dla nas rozrywek, satysfakcjonowało nas i zostało w naszej pamięci jako bardzo miłe wspomnienia.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Również dziękuję.

Rozmowę przeprowadził Łukasz Sitko

Wspomnienia Józefa Krawca – ucznia Liceum w latach 1953-1956

Dziadku, jak wyglądała wtedy, gdy uczęszczałeś do niej, nasza szkoła?

Szkoła wyglądała nieco inaczej. Wszystkie schody były drewniane, tak samo jak podłoga we wszystkich klasach. Nie było centralnego ogrzewania. W klasach stały piece kaflowe, w których w zimie się paliło. W szkole był woźny, który o wyznaczonych porach chodził obok sal i sygnalizował przerwę.

Jakich nauczycieli wspominasz najlepiej?

Miałem szczęście spotkać wielu wspaniałych nauczycieli, którzy byli wzorem dla młodzieży, ale kilku było naprawdę wyjątkowych:

– Profesor Gębica, przeżył obóz koncentracyjny Auschwitz. Niezwykły człowiek. Te straszne wydarzenia, których był uczestnikiem w przeszłości, odcisnęły na nim swoje piętno. Zawsze był spokojny, nie umiał się denerwować.

– Profesorka Kotowa, polonistka, żona Jana Kota, olimpijczyka w pływaniu, którego imieniem nazwano krytą pływalnię w Bochni. Była wspaniałą nauczycielką, umiała ciekawie prowadzić lekcje, a uczniowie szanowali ją za podejście do swoich podopiecznych.

– Profesorka Dobkiewicz, również bardzo dobra nauczycielka, jednak nieco roztargniona, zdarzało jej się zapominać często różnych rzeczy. Uczyła języka rosyjskiego, a także angielskiego. Angielski był wtedy językiem dodatkowym.

Czy działałaś w jakichś szkolnych organizacjach?

Tak, grałem w reprezentacji szkolnej w piłce nożnej. Trenowaliśmy również łyżwiarstwo, narciarstwo, koszykówkę oraz lekkoatletykę. W święta państwowe organizowane były biegi na plantach salinarnych, w których też brałem udział. Warto tu wspomnieć o profesorze Kazimierzu Młynarskim, nauczycielu WF-u, który był wspaniałym pedagogiem, organizował wiele meczów piłkarskich. Zajęcia mieliśmy na boisku obok szkoły, biegaliśmy na plantach lub graliśmy w piłkę na boisku Bocheńskiego Klubu Sportowego. Wtedy sala gimnastyczna nie była taka jak obecnie, była o wiele mniejsza. W szkole działało także harcerstwo.

Jak komunizm wpływał na szkołę?

Przede wszystkim wszechobecna była cenzura. Na początku religia była jeszcze dozwolona, uczył jej ks. Czapliński, bardzo ceniony i lubiany przez młodzież. O tym, jakim był wspaniałym człowiekiem, świadczyć może fakt, że szkoła obecnie znajduje się właśnie przy placu ks. Czaplińskiego. Pewien dyrektor, którego nie wymienię z nazwiska, wierny aktualnemu wtedy systemowi, często wchodził na lekcję religii i pytał, czy ktoś nie chce wyjść pograć w piłkę lub robić coś innego. Ks. Czapliński, zachowując stoicki spokój, mówił po wyjściu dyrektora z klasy: „Nic się nie bój, kiedyś za to odpowiesz”.

Czy byli nauczyciele historii, którzy mówili prawdziwe informacje np. o wojnie polsko-bolszewickiej lub powstaniu warszawskim?

Nie mówiono o prawdziwej historii. Czasami zdarzało się usłyszeć delikatne aluzje ze strony nauczycieli, ale nigdy wprost. Nie mogli powiedzieć nic więcej, ponieważ bali się, że stracą pracę.

Czy ogólnie dobrze wspominasz lata spędzone w szkole?

Bardzo dobrze, zdarzały się wagary, żarty na lekcjach, zrzucanie plecaków z drugiego piętra. Ale te wszystkie chwile spędzone z kolegami na zawsze zapamiętałem i często wracam wspomnieniami do tamtych lat.

Refleksje zapisał Jakub Włosiński

„Historia – świadek czasu, światło prawdy, życie pamięci, nauczycielka życia, zwiastunka przyszłości”

Historię tworzy każdy z nas. Pamięć należy jednak pielęgnować. Właśnie dlatego moja babcia Barbara Manowita postanowiła podzielić się ze mną tym, co najcenniejsze – wspomnieniami. A oto jej opowieść:

Uczęszczałam do I LO im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni w latach 1968-1971. Dyrektorem szkoły była wtedy Zofia Marzec. Chodziłam do damsko-męskiej (tzw. mieszanej) klasy I e, która liczyła ponad 30 uczniów. Jediną grupę żeńską stanowiła klasa I c.

W tamtych czasach klasy nie były profilowane. Dzielono je tylko na muzyczne i plastyczne. Naszą pierwszą wychowawczynią była Pani Kostańska. Niestety zmarła ona po kilku miesiącach. Kolejnym wychowawcą został Pan Adamczyk.

Przez pierwsze dwa lata do szkoły chodziło się na drugą zmianę, tzw. popołudniówkę, a przez kolejne dwa – na godziny poranne. Byliśmy także pierwszym rocznikiem, który uczęszczał do ośmioklasowej podstawówki. Uczyliśmy się również w soboty, tylko niedziela była dniem wolnym. Przerwy trwały dziesięć minut, oprócz jednej – dwudziestominutowej, którą zwano „długą”. W tym czasie nawiązywało się kontakty z uczniami z pozostałych klas. Uczniowie pochodzą-

cy spoza Bochni mieszkali w internacie, który mieścił się przy ul. Kazimierza Wielkiego.

Do dziś pamiętam nazwiska większości nauczycieli. Języka polskiego nauczała pani Pięch, matematyki pan Sokołowski, biologii pani Smrokowska, fizyki pan Smółka, przysposobienia obronnego (dzisiejsza edukacja dla bezpieczeństwa) pan Janczura, natomiast wiedzy o społeczeństwie jego żona – pani Janczurowa. W ramach zajęć z PO uczyliśmy się strzelać do celu. Te zajęcia odbywały się na Uzborni – dzielnicy Bochni.

Obowiązkowymi językami obcymi były niemiecki i rosyjski. Pierwszego nauczała pani Machnicka, a drugiego pani Rodziewicz. Natomiast łacina była nieobowiązkowa. Często wykonywaliśmy również doświadczenia w pracowni chemicznej oraz fizycznej, a na tych przedmiotach przybliżano nam wybitne postacie i ich dokonania. Bardzo ważną umiejętność stanowiła również znajomość wzorów i symboli chemicznych. Nietypowym przedmiotem był rysunek techniczny, którego nauczał pan Adamczyk. Lekcje religii nie odbywały się w szkole, tylko w bursie. Katechetą był wtedy ks. Antoni Czaplński. Wspominam go jako bardzo mądrego człowieka.

Wychowanie fizyczne odbywało się na bardzo małej sali gimnastycznej. Znajdowały się tam tylko drabinki, kozioł, skrzynia, materace i nigdy nienapompowane piłki. W tamtych czasach był to najbardziej lubiany przedmiot przez uczniów. Wszyscy cieszyli się już na samą myśl o tych zajęciach, które prowadził pan Kurkiewicz. Obok szkoły znajdowało się małe boisko do siatkówki. Często chodziliśmy do pobliskiego Technikum Ekonomicznego, gdzie graliśmy w piłkę nożną. Zimą dużą atrakcją była jazda na łyżwach na lodowisku.

W czasach, gdy chodziłam do szkoły, nie istniały takie oceny, jak jedynka czy szóstką. Najniższą oceną była dwójka, a najwyż-

szą – bardzo dobry. Testów nie mieliśmy. Naszą wiedzę sprawdzano poprzez pisanie wypracowań i tzw. „klasówek”. Dostawaliśmy również dużo zadań domowych. Z zachowania także stawiano stopnie od 2 do 5. Główną metodą nauczania były wykłady. Profesor podawał temat, a następnie poszerzał go o nowe, pozapodręcznikowe wiadomości. Każdy nauczyciel niezwykle poświęcał się swojej pracy i zawsze dbał o dobro uczniów.

Dużą wagę przywiązywano do nauki historii, języka polskiego oraz geografii. Podstawą były daty i ciągi przyczynowo-skutkowe. Czytaliśmy również wiele lektur, takich jak: *Pan Tadeusz*, *Chłopi*, *Lalka*, *Krzyżacy*, *Przedwiośnie*, *Medaliony*, *Iliada*, *Trylogia* Henryka Sienkiewicza. Często chodziliśmy do kin Jutrzenka oraz Syrenka, gdzie oglądaliśmy ekranizacje niektórych z powyższych książek. Geografii należało uczyć się bardzo dokładnie. Musieliśmy znać umiejscowienie wszystkich państw czy pasm górskich na mapie świata.

Bardzo dbano o schludny wygląd uczniów. Do szkoły codziennie należało przychodzić w granatowym fartuszkach i białej bluzce. Inny strój był niedopuszczalny. Ponadto na lewym ramieniu mundurka oraz okrycia wierzchniego (płaszcz) musiała być wyszyta tarcza z napisem „LO BOCHNIA”. Należało także obowiązkowo zmieniać obuwie w szatni.

W szkole była biblioteka, choć książki częściej wypożyczano się w bibliotece przy Rynku. W budynku Liceum znajdował się również sklepik. Sprzedawano w nim tylko świeże bułki i precle. Zupełnie inaczej niż dzisiaj.

Bardzo powszechną organizacją było wtedy harcerstwo, do którego należałam. Często jeździliśmy na biwaki do Żegociny oraz spędzaliśmy wspólnie czas przy ognisku, śpiewając i grając na gitarze. Atrakcją stanowiły także organizowane co roku w zimie kuligi. Często pomagaliśmy również przy kopaniu ziemniaków.

Każdy lubił jeździć na wycieczki. Niestety, była to rzadka atrakcja. W pamięć zapadła mi wycieczka do Zakopanego w czwartej klasie. Zdobyliśmy wtedy Giewont i przespacerowaliśmy się reprezentacyjną ulicą miasta – Krupówkami.

Studniówka tradycyjnie odbywała się sto dni przed maturą. Na tym kończą się podobieństwa do współczesnej formy tej zabawy. W latach, gdy uczęszczałam do Liceum w Bochni, organizowano ją w szkole, na sali gimnastycznej. Bawiliśmy się przy muzyce zespołu, który składał się z uczniów klas młodszych. Na studniówkę wszyscy przychodzili bez osoby towarzyszącej, a na początku zabawy losowali kwiat. Były tylko dwa takie same kwiatki. Tym sposobem tworzyły się pary. Ubiór także regulowały przepisy. Musiał on być galowy. W przypadku kobiet strój stanowiła granatowa sukienka lub biała bluzka i granatowa spódnica. Natomiast po maturach odbywały się tzw. bale maturalne.

Ciekawostką jest to, iż chodziłam do szkoły z wokalistą zespołu TSA – Markiem Piekarczykiem. Znaliśmy się bardzo dobrze, choć był on ode mnie rok starszy.

Moja klasa była i jest wyjątkowo zgranym zespołem. Zawsze mieliśmy ze sobą doskonały kontakt. Spotykamy się bardzo często – co 5 lat. Wspominamy wtedy czasy licealne i dzielimy się swoimi przeżyciami. W maju będziemy obchodzić 45-lecie naszych matur. Ten zjazd absolwentów jest organizowany już od roku.

Nie żałuję żadnego dnia spędzonego w tej szkole. To były piękne lata mojej młodości. Z radością je wspominam. To właśnie w tym miejscu wskazano mi właściwą drogę życia, pokazano, że zawsze trzeba mieć nadzieję, nie poddawać się i z odwagą spoglądać w przyszłość. Tam nauczyłam się dostrzegać własne wady i zalety oraz nawiązałam przyjaźnie, które przetrwały długie lata.

Opowiadania wysłuchała Marlena Świątek

Wywiad z długoletnią polonistką w Liceum im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni – Panią Michaliną Pięchową

Michalina Pięchowa uczyła w Liceum im. Kazimierza Wielkiego od 1961 do 1997 roku, prowadziła lekcje z języka polskiego i języka łacińskiego. Ponadto przez cały czas pracowała z zespołem poetycko-wokalnym, do którego należała uzdolniona młodzież. Zespół ten występował na terenie szkoły i miasta dla różnych instytucji i przy różnych okazjach.

Jak zaczęła się Pani przygoda z Liceum Ogólnokształcącym?

Po studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim pracowałam przez 6 lat w Liceum Ogólnokształcącym w Pilźnie. Potem przenieśliśmy się wraz z rodziną do Bochni i tu zaczęłam równocześnie pracę w dwóch szkołach: w Liceum Pedagogicznym i w Liceum Ogólnokształcącym. W efekcie ponad 40 lat miałam kontakt z młodzieżą. W ten sposób w 1961 roku rozpoczęła się moja przygoda ze szkołą wyjątkową – ze szkołą, do której uczęszczała młodzież często bardzo zdolna, nie zawsze pracowita, ale pełna inicjatywy.

Czy według Pani młodzież zmieniła się od tamtych czasów?

Trudno mi powiedzieć, czy w ciągu tylko kilkudziesięciu lat młodzież zmieniła się na lepsze, czy gorsze. Nie mam skali po-

równawczej, nie uczę już od jakiegoś czasu, więc tak naprawdę nie wiem, co się teraz dzieje w szkole. W każdym razie tamci – mówię tak nie dlatego, żebym idealizowała tamtych młodych ludzi – ale tamci potrafili być zdyscyplinowani, grzeczni i wspierali siebie nawzajem. Bardzo często jeździłam z młodzieżą na wycieczki, także kilkudniowe. Każdą wycieczkę omawialiśmy tak, żeby stanowiła nie tylko przyjemność, ale także uczyła, wychowywała. Ponadto wiele czasu poświęciłam na pracę społeczną w tzw. Zespole Recytatorskim – mówię o tym, żeby podkreślić dobrą wolę i chęci tych młodych ludzi, którzy chcieli uczyć się poza lekcjami, spotykać i występować na scenie. Sądzę, że dzisiejsza młodzież, która korzysta z bardziej nowoczesnych urządzeń i możliwości, niewiele się różni od tamtej. Może jest mniej skromna, ale w każdym razie też ma ideały.

54

Jakich uczniów się najbardziej zapamiętuje?

Nie tylko dobrych, ale także i tych, którzy z różnych powodów nie chcieli się uczyć. Bywa tak, że właśnie ci uczniowie – że tak powiem: bardzo dobrzy – nie zawsze pamiętają. Natomiast słabsi, którym okazało się trochę zainteresowania i pomocy, potrafią przez całe lata pamiętać i wyrażać się z wdzięcznością o nauczycielu.

Proszę powiedzieć, jakie zalety i wady ma zawód nauczyciela?

Gdy zdawałam maturę, stałam na rozdrożu, wydawało mi się wówczas, że mam zbyt małe zdolności, aby dostać się na Akademię Sztuk Pięknych albo architekturę. Za namową swojego taty zrezygnowałam z jednego i drugiego i w końcu skończyłam polonistykę. Zawód nauczyciela polonisty jest zawodem trudnym, wymagającym nie tylko wiedzy, ale i poświęcenia. Jest powołaniem. Bardzo lubiłam pracę z młodzieżą, czułam się za-

wsze młoda i tym samym przedłużałam sobie młodość. Kochałam młodzież, kochałam uczniów. Wielu nawet nie wiedziało, że w niektórych sytuacjach broniłam ich. W każdym razie szkoła była w moim życiu chyba na pierwszym miejscu. To jedyny zawód, który posiada wyjątkowy przywilej. Tym przywilejem uczniowie obdarzają niektórych nauczycieli – tym przywilejem jest pamięć, która trwa niejednokrotnie przez długie lata i objawia się w różnoraki sposób, poprzez życzenia, spotkania, zjazdy, towarzyszenie w takich ważnych chwilach, jak w moim przypadku promocje książki czy wernisaż moich obrazów.

Obecnie za spory problem uważa się „ściągnięcie” w czasie rozwiązywania testów czy podczas kartkówki. Czy spotykała się Pani z takimi przypadkami? Jeśli tak, to jak Pani na to reagowała?

Wtedy, w tamtych latach zjawisko stosowania ściąg nie było zjawiskiem nagminnym, czasem się zdarzało, ale reakcja nauczyciela była wówczas natychmiastowa. Kiedy zobaczyłam, że ktoś z uczniów przepisuje, odbierałam ściągę i na tym się kończyło, jeśli nawet nie zauważyłam, to sprawdzając testy, zadania, potrafiłam wyłowić przepisane fragmenty i oczywiście obniżałam ocenę.

Czy w swojej karierze pamięta Pani szczególnie jeden dzień, o którym nie da się zapomnieć?

Trudno mi, patrząc z perspektywy czasu, powiedzieć, który to dzień był godny szczególnej uwagi. Wydaje mi się, że każdy dzień, w którym spotykałam się z uczniami, przynosił jakieś nowe sytuacje, niespodzianki. Na przykład w ostatniej klasie, maturalnej, miałam tygodniowo 5 godzin polskiego, 4 łaciny i jedną wychowawczą. Pod koniec tygodnia zawsze pytałam uczniów: „Możecie jeszcze na mnie patrzeć?” i za-

55

zwyczaj nie sprawdzałam wtedy wiadomości, po prostu prowadziłam lekcje. Będąc już na emeryturze, wyjątkowym dniem był dla mnie zjazd moich uczniów z Liceum w Piźlnie, którzy obchodzili 50-lecie matury, a mnie wręczyli kosz z pięćdziesięcioma różami. Rozczuliłam się bardzo i powiedziałam: „Przecież to nie ja obchodzę 50-lecie, tylko wy”.

Gdyby była możliwość powrotu do liceum w charakterze nauczyciela, czy zrobiłaby to Pani chętnie?

Tylko nie wiadomo, czy by mnie chcieli. Czym była dla mnie szkoła, najlepiej świadczy to, że nieraz śni mi się po nocach, iż przeprowadzam lekcje, a potem wracam do nudnej rzeczywistości. W okresie emerytury, kiedy czas spędza się właściwie na niczym, chętnie sięga się wspomnieniami do tamtych czasów.

Przez całe życie poświęcała się Pani szkole. Jak spędza Pani czas na emeryturze?

Nawet na emeryturze można znaleźć sobie zajęcie i konkretny cel w życiu. Bardzo dużo piszę. Wydałam pięć książek, a nad szóstą pracuję. Są to zbiory reportaży i wywiadów, z różnych ciekawych miejsc. Wśród nich są dwie pozycje szczególnie bliskie mojemu sercu: czwarta książka poświęcona jest w całości Ojcu Świętemu, liczy ponad dwieście stron, także piąta – *Blaski i cienie minionego czasu*, saga rodzinna, która liczy trzysta stron. Poza tym maluję obrazy olejne i w związku z tym miałam kilkanaście wernisaży. Takie wydarzenia są dla mnie wielkim przeżyciem, a jeszcze większym jest fakt, że zawsze na nich są obecni moi dawni uczniowie.

Wywiad przeprowadziła Maria Świgost

Licealne wspomnienia

„Liceum” – jeden wyraz, a budzi tyle emocji. Dla tych, którzy jeszcze nie mieli okazji się w nim znaleźć, jest to po prostu szkoła. Budzi skojarzenie z dorosłością, powagą... Ale być licealistą wcale nie oznacza być odpowiedzialnym, rozważnym ani nawet dorosłym. W tym wieku kształtuje się nasza osobowość i spojrzenie na świat. Poznajemy nowych ludzi, zakochujemy się, doświadczamy rozczarowań, nawiązujemy przyjaźnie, które przetrwają lata, a także staramy się przetrwać lekcje (ciekawsze i te budzące mniej zainteresowania). Będąc dzieckiem, wielokrotnie słyszałam opowieści babci, cioci i jej przyjaciółki o ich licealnych czasach. Aż trudno uwierzyć w niektóre z nich! Nie potrafię sobie wyobrazić tych trzech poukładanych, pełnych godności pań uciekających z lekcji albo jadących ciężarówką do teatru. A ponoć i takie rzeczy nie były im obce...

Cała historia rozpoczęła się w 1956 roku. Był to czas zmian. Terror stalinowski odchodził w zapomnienie, a odwilż nadchodziła wielkimi krokami. O przemianach najlepiej świadczył fakt powrotu religii do szkoły. *„Wcześniej chodziliśmy na religię do bursy. Od października ks. Antoni Czapliński przychodził do nas – wspomina babcia. – Był to wyjątkowy człowiek. Miał w sobie bardzo dużo cierpliwości. Czasem jego spokój wydawał się aż nierzeczywisty. Nasza klasa w końcu do świętych nie należała. Ksiądz prowadził bursę dla chłopców mieszkających daleko od Bochni. W tych czasach nie było komunikacji miejskiej, więc*

kolega mieszkający w Trzcianie chodził codziennie pieszo do szkoły i z powrotem. Jego rodzina była zbyt biedna, by wynająć mu pokój na pensji. Ks. Czaplński zaoferował mu mieszkanie. Od rodziców nie oczekiwał pieniędzy. Poprosił tylko, by rodzina czasem przysłała plody rolne do kuchni”. Pani Katarzyna dodaje: „Często widywałam go, jak razem ze swoimi wychowankami grał w piłkę. Bardzo się o nich troszczył. Pewnego razu jeden z kolegów był chory. Ksiądz zadbał o odpowiednią opiekę medyczną i poprosił, bym przynosiła mu zeszyty”.

Na moje pytanie o ulubionego nauczyciela panie zgodnie opowiadały o profesorze uczącym geografii. Zafascynował on uczniów przedmiotem do tego stopnia, że cała klasa rozważała ponoć wybór studiów geograficznych. „Profesor Ellnein był wybitnym człowiekiem, bardzo wymagającym, ale równocześnie sprawiedliwym. Nauczył nas nie tylko geografii, ale także właściwej postawy wobec drugiego człowieka. Swoim zachowaniem zawsze pokazywał, iż tylko szanując innych, zasłużymy na szacunek. Zarwsze budził we mnie odruchowy respekt, który nawet z biegiem lat nie osłabł”.

Wśród ulubionych profesorów ciocia wymienia też wychowawczynię – panią Krzyszkowską. Była podobno bardzo wyrozumiała i „dzielnie broniła nas przed (nierzadko słusznymi) oskarżeniami innych nauczycieli. Jej jedyną przywarą było zadawanie ogromnej liczby zadań domowych, których mimo najszczerzej chęci nie dało się z dnia na dzień przerobić”.

Pani Katarzyna i babcia z sentymentem wspominają też lekcje łaciny w klasie XI. Mimo że język łaciński w tamtych czasach nauczany był od klasy VIII, przyjemność zaczął sprawiać dopiero po zmianie nauczyciela. „Pani profesor z dnia na dzień zapowiedziała duże powtórzenie wiadomości. Nie mieliśmy się szans nauczyć. Pole kusilo piękną pogodą. Taka okazja nie mogła się

zmarnować! Całą klasą wybraliśmy się na węgry, zostały tylko dwie osoby. Wspaniale się bawiliśmy. Pani od łaciny była wściekła i zrobiła awanturę naszej wychowawczyni. Obniżono nam ocenę z zachowania, ale było warto!” – wspomina pani Katarzyna.

„Przypomniała mi się inna historia. Karne kartkówki na łacinie niestety nie należały do rzadkości. Tym razem zostaliśmy ukarani za przeszkadzanie w lekcji. Naszym zadaniem było przetłumaczenie fragmentu mowy Cycerona. Mój brat, który skończył szkołę kilka lat wcześniej, zostawił mi kilka tzw. bryków, czyli zbiorów przetłumaczonych tekstów łacińskich (lub greckich). Były bardzo cenne, gdyż nauczyciele prowadzili z nimi nieustającą wojnę i konsekwentnie je konfiskowali. Szybko odszukałam właściwy fragment, zaznaczyłam i przepisałam. Następnie podałam tłumaczenie dalej. Klasa odpisywała i ściągą niezauważenie przeszła przez wszystkie ławki. Uszłoby nam to na sucho, gdyby nie jeden kolega. W moim bryku przetłumaczony był cały tekst. Chłopak nie zauważył gwiazdek oznaczających początek i koniec fragmentu. Przepisał całość. Zapytany o to, skąd wziął cały tekst, odpowiedział, że dostał go od dziewczyn. Po tym «wyznaniu» śledztwo zostało umorzone. Pechowiec dostał dwójkę, a reszcie obniżono oceny”. Po tych i kilku innych incydentach zmieniono klasie nauczycielkę.

„Pani Kaczmarczykowa była wspaniała. Od chwili zmiany łacina przestała być taka straszna”. W ostatnim roku nauczycielka bardzo pozytywnie zaskoczyła klasę. „Zadań z matematyki zawsze było za dużo i stawały się coraz trudniejsze. Kiedy więc pojawiała się luźna lekcja, każdy próbował odpisać albo zrobić jak największą cwiczeń. Profesor zauważyła, że nikt jej nie słucha, przerwała lekcję i zaproponowała układ. Mieliliśmy uważać na wykładzie, a w zamian ostatnie 10 minut mogliśmy poświęcić tylko na matematykę”.

Długo można mówić o nauczycielach, ale szkoła to przecież nie tylko nauka. W czasie karnawału, w soboty, odbywały się

bale. Miały miejsce w auli, która znajdowała się na drugim piętrze. Obecnie, ze względu na słaby strop, przekształcono ją w klasy. Ulubioną częścią szkoły według mojej babci był tzw. „folwark”, czyli część budynku przylegająca do ul. Czackiego. Nauczyciele rzadko tam zaglądali, a uczniowie czuli się bezkarni.

Pytanie o najgorszą rzecz w liceum panie kwitują jednym słowem – „tarcze”. Były to naszywki z nazwą i numerem szkoły, które uczniowie mieli obowiązek nosić. Ciocia wspomina: *„Umówiliśmy się z koleżankami do teatru. Przed wyjazdem postanowiłam odpruć tarczę z rękawa płaszcza. Chciałam wyglądać dorosłej. Niestety mama mnie zauważyła. Postawiła mi ultimatum: albo pojedę z tarczą, albo wcale. Przedstawienia nie obejrzałam”*.

Najlepszym wspomnieniem licealnych czasów były obozy wędrownie. Po roku 1956 odrodziło się przedwojenne harcerstwo. Zastęp liczył 10 dziewcząt, które co roku, wraz z nadzieją lata pakowały plecaki i wyruszały zwiedzać Polskę. *„To były wspaniałe wycieczki. Spałyśmy w schroniskach, a jeśli nie zdążyłyśmy dojść przed nocą, nasza opiekunka pytała właścicieli gospodarstw, czy możemy przenocować w którejś stodole. Sen na sianie był bardzo przyjemny, jego zapach delikatnie wyczuwalny, a świadomość bliskości przyjaciół – bezcenna. Te noce były najlepsze”*.

Trudno uwierzyć, że minęło tyle lat, a te wspomnienia nadal są tak wyraźne. Uczniowie niewiele się zmienili, a budynek szkoły pozostał ten sam. Do wiekowych murów wkradło się jednak trochę współczesności. Cieszę się, że chodzę właśnie do tego Liceum. Do miejsca, z którym tyle pokoleń było związanych i gdzie nadal czuć tę szczególną atmosferę. Czasy się zmieniają, ale umiejętność łączenia tradycji z nowoczesnością to bardzo ważna cecha. Uważam, że należy ją rozwijać.

Wspomnień wysłuchała Monika Wójcik

Wspomnienia Wojciecha Czernego – absolwenta Liceum

I Liceum Ogólnokształcące w Bochni jest bez wątpienia placówką edukacyjną z ogromnym doświadczeniem tak historycznym, jak i kulturalnym. Zbliżająca się dwusetna rocznica jego istnienia skłania do refleksji nad przeszłością, ale również i przyszłością I LO. Dla mnie przybrała ona bardzo ciekawy, ale również pouczający wymiar – miałem bowiem przyjemność porozmawiać na ten temat z pedagogiem, uczniem właśnie I Liceum Ogólnokształcącego w Bochni, panem Wojciechem Czernym. Jest On wychowawcą oraz nauczycielem w I Publicznej Szkole Podstawowej w Bochni; uczy tam historii oraz muzyki. Osobiście był On dla mnie – i nadal jest – ogromnym wzorem do naśladowania, tak pod względem wiedzy, którą przekazywał i wciąż przekazuje, jak również bardzo klarownego i obiektywnego spojrzenia na świat, zdolności łączenia ze sobą pewnych faktów, które dają umiejętność zupełnie innego spojrzenia na rzeczywistość.

Jak udało mi się wywnioskować z rozmowy z Nim, wszystkie te rzeczy zdobył właśnie w I Liceum Ogólnokształcącym, którą to szkołę wspomina z (autentycznym) uśmiechem na twarzy.

Oczywistym faktem jest, że to nauczyciele tworzą szkołę, atmosferę, jaka w niej panuje, oraz to, czy wiedza przekazywana jest w sposób właściwy. Po rozmowie z panem Wojciechem

Czernym jestem zaś szczerze przekonany, że 20 lat temu „ciało pedagogiczne” stało na równie wysokim poziomie, jak teraz. Dowodem na to może być entuzjazm, z jakim pan Czerny wspomina kadrę nauczycielską, z którą mógł współpracować, a szczególnie panią dyrektor Mroczek, która uczyła Go historii. Sam zaznaczył, że prawdopodobnie nasza rozmowa nie miałaby w ogóle miejsca, gdyby nie ta nauczycielka. Pan Wojciech chodził do klasy o profilu biologiczno-chemicznym, jednak – jak sam ze śmiechem mówi – od pierwszej lekcji biologii wiedział, że to nie był przedmiot dla Niego. Za to już pierwsza lekcja historii z panią dyrektor Mroczek rozbudziła w Nim gorące i niegasnące do dnia dzisiejszego zamiłowanie do tego przedmiotu. Sposób prowadzenia wywodu, łączenia ze sobą faktów pozornie niezwiązanych (jak chociażby postaci Jadwigi Andegaweńskiej oraz Józefa Piłsudskiego) był tak bardzo inspirujący dla mojego rozmówcy, że pomimo nauki w klasie biologiczno-chemicznej postanowił zdawać maturę z historii oraz dostać się na studia historyczne, a później zostać nauczycielem. Myślę, że pani dyrektor Mroczek była jedną z postaci, które najbardziej wpłynęły na życie pana Wojciecha i gdyby nie I Liceum, Jego życie mogłoby potoczyć się zupełnie inaczej.

Jako świetnego nauczyciela pan Wojciech wspomina również panią Gawłowicz (obecnie panią Paprotę), którą nazwał „pedagogiem społecznym” swojej klasy. Zaznaczył też, że Jego klasa była pierwszą, która uczyła się z panią Gawłowicz, z czego jest bardzo zadowolony, gdyż udało im się wypracować świetny kontakt oraz swoistą „chemię pracy”, która pozwoliła na wiele ponadprogramowych rozmów na temat sztuki oraz literatury, które mój rozmówca bardzo miło wspomina. Pani Gawłowicz pomagała również często w organizacji wycieczek klasowych, które klasa musiała sama przygotować.

Kolejnym pedagogiem bardzo dobrze wspomnianym przez pana Wojciecha jest pani Filipowska, nauczycielka łaciny. Była świetnym humanistą, z którym można było dyskutować nie tylko na tematy czysto szkolne, ale również literatury, muzyki czy filmów. Pan Wojciech z uśmiechem wspomina sytuację, w której przez prawie dwie lekcje dyskutował z panią Filipowską na temat filmu *Pulp Fiction*. Klasa mojego rozmówcy na pewno zawdzięcza też pani Filipowskiej rozwój intelektualny i kulturalny spowodowany comiesięcznymi wyjazdami do teatru, opery lub filharmonii.

Szkołę tworzą jednak nie tylko nauczyciele, ale w równej mierze sami uczniowie. I uczniów swojej klasy pan Wojciech wspomina z ogromnym rozrzewnieniem. Tak silna więź z ludźmi, bez których nie można sobie wyobrazić następnego dnia, jest bez wątpienia czymś niesamowitym, a nasza szkoła dała Mu taką możliwość. Wspomnienia rozmów, jakie toczyły się często pomiędzy przyjaciółmi, sugerują również, na jak wysokim poziomie stała edukacja w ówczesnym I LO – ich tematyką często były przeróżne zagadnienia egzystencjalne, porównania światopoglądów różnych filozofów oraz polityka, co może sugerować, że „jednak mieli coś w głowach”.

Bez wątpienia scheda kulturalna oraz historyczna w bardzo znaczącym stopniu wpływała na nauczycieli, których wspomina pan Wojciech. Na pierwszy plan wychodzi oczywiście pani dyrektor Mroczek, która była „nauczycielem starszej daty”, co objawiało się między innymi w upominaniu nie tylko uczniów, ale również nauczycieli odnośnie do kwestii ich ubioru. Mój rozmówca wspomina sytuację, kiedy to pani dyrektor wyrzuciła ze swojego gabinetu ucznia, który przyszedł do niej w krótkich spodenkach, mówiąc, by nie pojawiał się u niej w „gaciach”.

Jednak również same mury budynku oraz historia w nich zawarta, wygląd szkoły, pracownie, które kiedyś na pewno były inne niż dzisiaj, stare ławki, skłaniały do odczuć, że siedzieli w nich dawniej inni uczniowie. Zapewne ta świadomość wpływała na obecnych absolwentów tej placówki, kierując ich poczynaniami, powodując chęć dorównania w dokonaniach swoim poprzednikom.

Także fakt, że w owych czasach I LO było szkołą właściwie elitarną (dostać się do niej było trudno, a poprzedzone było to wstępnymi egzaminami z języka polskiego, matematyki oraz jednego wybranego przedmiotu), sprawiał, że uczniowie odczuwali chęć nauki na jak najwyższym poziomie. Nauki było na pewno o wiele więcej niż dzisiaj. Przybierała ona również wymiar bardziej encyklopedyczny, co nie oznaczało, jak zaznacza mój rozmówca, że nie trenowano również pracy twórczej – trenowano, chociażby poprzez częste wypracowania na języku polskim.

Nie da się więc zaprzeczyć, że I Liceum Ogólnokształcące w Bochni spełniało swoją rolę dydaktyczną. Ale co z rolą społeczno-wychowawczą? Według pana Wojciecha – także. U progu dorosłości, w momencie, w którym należało podjąć ważne decyzje życiowe, można było – pomimo dystansu pomiędzy uczniem a nauczycielem – liczyć na pomoc belferską, szczerą rozmowę, która na pewno pomogła wielu przy wyborze ścieżki życiowej. Szkoła nauczyła również mojego rozmówcę swoistej samodzielności, gdyż musiał On wraz ze swoim kolegą (teraz doktorem biotechnologii) przygotowywać informacje wykorzystane później w czasie wycieczki do Wiednia.

Naszą rozmowę zakończyliśmy pewnymi ogólnymi rozważaniami na temat zmian, które zaszły przez te 20 lat. Nie chcąc tutaj odnosić się do ogólnych reform szkolnictwa, które nic do-

brego nie wprowadzają, nie da się jednak nie zauważyć spadku poziomu uczniów, którzy przyjmowani są do I LO. Bardzo widoczny oraz zasmucający jest również narastający „wyścig szczurów” między uczniami, którzy nie chcą już tworzyć takich więzi, jak kiedyś; nie chcą sobie nawzajem pomagać, lecz rywalizować i być najlepszymi. Być może jest to spowodowane postępowaniem technologicznym, zmieniającym się wyglądem społeczeństwa, jednak szkoła ma pewną rolę do spełnienia – rolę nie tylko przekazywania informacji, lecz powinna zwłaszcza nauczyć młodych ludzi życia, zasad moralnych oraz właściwego postępowania, a trudno jest w tym momencie zauważyć takie działania, chociaż oczywiście zdarzają się wyjątki. I LO pana Wojciecha Czernego było miejscem bezpiecznym, w którym czuł się dobrze, spotykał swoich przyjaciół, tworzył silne i zdrowe więzi międzyludzkie oraz społeczne. Ze smutkiem stwierdzam, że choć budynek szkoły jest ten sam, co wtedy, nauczyciele w znacznej mierze ci sami, to szkoła jest zupełnie inna.

Może więc ta zbliżająca się dwusetna rocznica istnienia naszej placówki stanie się pewnym punktem zapalnym, który natchnie nas wszystkich do pewnych przemyśleń i może uda nam się razem zmienić tę szkołę na lepsze?

Wysłuchał i spisał Mikołaj Cierniak

Wspomnienia Pani Zofii i Pani Izabelli

Zofia

Do I Liceum Ogólnokształcącego w Bochni chodziłam w latach 70. Uczęszczałam do klasy o profilu humanistycznym, a moją wychowawczynią była pani Zofia Światłowska – nauczycielka języka polskiego.

Pamiętam, że LO było podzielone wtedy na dwie części – część osób uczyła się w budynku Szkoły Podstawowej nr 2, a część w budynku Liceum. Chodziło się wtedy na dwie zmiany: pierwsze i drugie klasy zaczynały lekcje po południu, a trzecie i czwarte – rano. Ja uczyłam się w budynku Liceum. Była tam wtedy bardzo mała sala gimnastyczna i mieszkanie dyrektorskie. Był zespół i kółka, np. teatralne. Wtedy była to głównie szkoła humanistyczna, ale były też profile matematyczne, które po prostu miały więcej godzin danego przedmiotu. Oczywiście wszyscy uczyliśmy się przedmiotów takich jak matematyka, chemia czy fizyka, ale z mniejszym zapałem. Uczyłam się też dwóch języków. W szkole organizowano również zajęcia techniczne i plastyczne, ale tylko w pierwszej klasie. Odbywało się dużo remontów w tamtym czasie. Nie było wtedy aż tak dużo sprawdzianów, było się pytanym i były kartkówki – „pięciominutówki”. I chodziło się do szkoły w sobotę. Lekcje wtedy trwały głównie do godziny 13.00.

Moja klasa liczyła na początku 28 osób. W ostatniej klasie już tylko 22. Wycieczki odbywały się rzadko. Zależało to od wychowawcy i klasy. Jeśli już jakieś się zdarzały, to były w maju i zbierało się osoby z całej szkoły, a nie jedną klasę. Nie było wycieczek w wakacje ze szkoły, jeździło się na kolonie, obozy harcerskie albo z zakładów pracy. Ja jeździłam z kuratorium oświaty.

Nie było w klasach ani wigilii ani mikołajek. W święta była za to tzw. choinka, jednak z racji tego, że mnóstwo osób było spoza Bochni, przychodzili głównie „miejscowi”. Nie było szatni – ubrania zostawialiśmy na wieszakach w klasach.

Zmiany nastąpiły dopiero po roku 1990. Jak w każdej szkole, mieliśmy akademie – komunistyczne akademie. Była akademia na Dzień Nauczyciela (czyli na Dzień Edukacji Narodowej), na Dzień Wojska Polskiego. Były obchody Rewolucji Październikowej czy 1 Maja. Oczywiście była studniówka. Ale w przeciwieństwie do czasów obecnych, odbywała się ona w klasach.

Licea nie były szkołami obowiązkowymi w tamtym czasie, więc mówiono: „Jeśli chcesz się uczyć, to się ucz, jeśli nie, to do widzenia”. Z racji tego, że byliśmy zajęci nauką, „miejscowi” spotykali się tylko w soboty (po szkole) i w niedziele. Rzadko chodziło się na wagary, ale jak już, to chodziliśmy do parku albo do kina – jakby ktoś pytał, można było powiedzieć, że chodzi się na inną zmianę.

Prosta szkoła, trzeba było robić to, co i teraz robi się w szkole, ale dzieci teraz mają lepiej – nowe technologie, mogą coś zmienić, bardziej się wykazać. Miło wspominam moje liceum, chętnie bym do niego wróciła.

Izabella

Chodziłam do Liceum Ogólnokształcącego nr 1 w Bochni w roku 1993. Tylko rok. Byłam w klasie o profilu ogólnym, a moim wychowawcą był pan Jan Witek – to chyba był pierwszy rok jego pracy. Pamiętam niewielu nauczycieli; pamiętam, że pan Uczkiewicz uczył mnie biologii. Nie można było wtedy obcym wchodzić do szkoły. Klasy były bardzo zróżnicowane. Żeby dostać się do szkoły, trzeba było zdać egzaminy z języka polskiego i matematyki. Odbywały się one na sali gimnastycznej. W szkole funkcjonowało też liceum dla dorosłych. Była również strzelnica. Niestety nie za wiele pamiętam, bo po roku się wyprowadziłam i poszłam do innej szkoły, ale ten rok był dobry. Teraz chętnie wróciłabym do szkoły.

Wspomnienia spisała Wiktoria Szenborn

Wspomnienia Agnieszki Bielak

Tradycje I Liceum Ogólnokształcącego sięgają 1817 roku. Szkoła przez tak długi czas wykształciła wiele pokoleń, warto więc posłuchać wspomnień absolwentów, przybliżyć ich sylwetki oraz zauważyć, jakie zaszły w szkole zmiany.

Jedną z dawnych uczennic I Liceum Ogólnokształcącego im. Kazimierza Wielkiego w Bochni jest Pani Agnieszka Bielak, z domu Rysak.

Pani Bielak naukę w szkole wspomina z sentymentem, uczęszczała do Liceum w latach 1987-1991. Według niej *„młodość zawsze dobrze wspomina się po latach”*. Absolwentka pamięta miłą atmosferę panującą w szkole, życzliwych nauczycieli oraz sympatyczne koleżanki z klasy.

I Liceum Ogólnokształcące wybrała, gdyż namówił ją do tego jej starszy brat, który również tutaj uczęszczał. Na początku pani Bielak dostała się do klasy biologiczno-chemicznej, jednak z biegiem czasu przepisała się do klasy o profilu ogólnym z językiem niemieckim. Miała liczną klasę: *„W pierwszej klasie było nas 33 – same dziewczęta, jednak w ostatniej klasie zostało nas tylko 23, z czego 21 osób przystąpiło do egzaminu dojrzałości”*.

Absolwentka nie pamięta wszystkich uczących ją nauczycieli. W pamięci zapadł jej pan Marek Całka uczący matematyki, pan Franciszek Turczyński – profesor fizyki i pan Szymon Korta – nauczyciel historii. Wychowawczynią klasy była pani

Anna Komorowska, która uczyła języka niemieckiego. *„Najbardziej lubiłam lekcje matematyki i historii oraz zajęcia prowadzone przez panią Ewę Jodłowską, która uczy w szkole do dziś. Najmniejszą sympatią darzyłam moją wychowawczynię, niewątpliwie przez nielubiany przeze mnie język niemiecki”.*

W szkole w tym okresie, jak i dziś, obowiązywały pewne zasady, jednak nie każdy się do nich stosował. *„Pamiętam, jak raz w III klasie koleżanki z ostatniej ławki piły wino na lekcji języka polskiego”* – wspomina z uśmiechem na twarzy dawna uczennica.

Pani Agnieszce zapadły w pamięć liczne wycieczki organizowane w każdym roku nauki. *„Najbardziej zapamiętałam jedną wycieczkę z III klasy – był to tygodniowy wyjazd na Ukrainę do Kijowa”.* Tak jak w obecnych latach, w czasie nauki przed maturą odbywały się wyjazdy do Częstochowy. Wspomina również studniówkę, która odbyła się na sali gimnastycznej: *„Studniówka była dla nas wielkim wydarzeniem – był to 1991 rok. Sami dzień przed przygotowywaliśmy salę, wieszaliśmy balony, ustawialiśmy stoliki. Tak jak i obecnie, ten ważny dzień rozpoczął się polonezem. Robiono pamiętkowe zdjęcia, a co najważniejsze – bawiliśmy się do białego rana”.*

Do I Liceum Ogólnokształcącego uczęszcza obecnie do klasy maturalnej córka pani Bielak. Może porównać funkcjonowanie szkoły kiedyś i obecnie. Twierdzi, że *„przez te 24 lata szkoła niewiele się zmieniła; poza drobnymi remontami wygląd jest taki sam. Zmiana widoczna jest w sposobie prowadzenia lekcji, uczniowie teraz mogą bardziej wykazać się na zajęciach i mają możliwość korzystania z nowoczesnego sprzętu – super sprawa!”* – mówi.

Gdyby miała możliwość zdecydowania jeszcze raz o wyborze szkoły, na pewno wybrałaby I Liceum – uważa ten wybór za jak najbardziej trafną decyzję.

Wspomnienia zanotowała Paulina Bugaj

Rozmowa z absolwentem Liceum Ogólnokształcącego – Józefem Cichostępskim

W jakich latach uczęszczałeś do naszej szkoły?

Było to w latach 1975-1976, chodziłem tam tylko przez jeden rok szkolny, i to już jako dorosły mężczyzna, ponieważ była to szkoła dla pracujących.

Dlaczego tylko przez jeden rok?

Z prostego powodu: zostaliśmy przeniesieni – bodajże z powodu remontów – do szkoły poniżej, w której teraz jest gimnazjum.

A jakie było Twoje pierwsze wrażenie odnośnie do naszego Liceum?

Oczywiście strach, zestresowanie. Przyjechałem z Brzeska, nie znałem miasta... No i czekał na mnie jeszcze egzamin wstępny, który wtedy trzeba było zdać... jak się potem okazało, wcale nie był taki trudny (*śmiech*).

Jak wspominasz swojego wychowawcę?

Nie mogę przypomnieć sobie nazwiska. Pamiętam, że była to pani ucząca języka rosyjskiego. Naprawdę dobrze ją

wspominam. Była bardzo przystępna i sympatyczna, wszystko potrafiła załatwić i wszyscy w szkole ją lubili.

Może pamiętasz jakichś innych nauczycieli? Ktoś był Twoim ulubionym?

Oczywiście, na przykład pani profesor Światłowska – polonistka, bardzo rygorystyczna, wymagająca, postrach szkoły (*śmiech*), ale jak przyszło co do czego, to za wszelką cenę podciągała nam oceny (*śmiech*). To właśnie była moja ulubiona nauczycielka, do dziś ciepło ją wspominam. Dobrze zapamiętałem jeszcze pana profesora Szeląga. Uczył geografii, świetnie uczył, dużo wynosiliśmy z jego lekcji. Jeszcze pani profesor Kozicka – miła, młoda i bardzo wyrozumiała kobieta, pomimo że z matematyki zawsze byłem kiepski (*śmiech*). Ogólnie nauczyciele bardzo dobrze uczyli. Byli wymagający, ale wyrozumiali, dało się z nimi pogadać. Naprawdę dobrze ich wspominam.

Już wiem, że z matematyki byłeś kiepski (śmiech). A z czego byłeś najlepszy albo który z przedmiotów lubiłeś najbardziej?

Język polski oczywiście, jak zresztą wszyscy w naszej rodzinie, chyba mamy to w genach (*śmiech*). Nie miałem kłopotów z tym przedmiotem, a pani Światłowska też przyczyniła się do polepszenia moich umiejętności.

Co nie podobało Ci się w tej szkole? Było w ogóle coś takiego?

Przede wszystkim dojazdy – w końcu musiałem jeździć z Brzeska do Bochni, no i w szkole było nieco ciasno, tłoczno na korytarzach. Poza tym nie miałem zastrzeżeń.

Tyle lat minęło, a wciąż narzekamy na to samo, niektóre rzeczy się nie zmieniają...

W końcu to szkoła z tradycjami! (*śmiech*).

Jakie wydarzenie związane ze szkołą zapamiętałeś do dzisiaj lub najlepiej wspominasz?

Wyobraź sobie, że w dzień egzaminów urodził mi się syn! Naprawdę, niesamowita sprawa. Cała szkoła, wszyscy profesorem mi gratulowali – nigdy tego nie zapomnę. Niesamowite!

Tak jak mówisz, niesamowite. Kończąc już, jak ogólnie wspominasz szkołę?

Same superlatywy, do dziś dobrze ją wspominam: nauczyciele świetni, choć wymagający, pomimo trudności szło się do przodu. Żałuję tylko, że uczęszczałem tam zaledwie jeden rok, z miłą chęcią wróciłbym tam.

Dziękuję Ci, Dziadku, za wywiad i podzielenie się swoimi wspomnieniami.

Ja również dziękuję, bardzo miło było powspominać.

Rozmowę przeprowadził Adam Chmura

Liceum we wspomnieniach Karoliny Puławskiej

Witaj, czy mogłabym zadać Ci kilka pytań związanych z Twoją byłą szkołą?

Witaj, Madziu, z miłą chęcią odpowiem na Twoje pytania.

W jakich latach uczęszczałaś do I LO w Bochni?

Do Liceum chodziłam w latach 2006-2009, do klasy o profilu geograficzno-historycznym.

Jak czułaś się w tej szkole? Jaka panowała atmosfera?

Początkowo byłam lekko zagubiona, ponieważ była to dużo większa szkoła niż poprzednia, do której uczęszczałam. Jednak w szkole, jak i w klasie spotkałam miłe osoby, otwarte na nowe znajomości. Byli to ludzie sympatyczni, szczerzy i spontaniczni.

Czy towarzyszą Ci jakieś wspomnienia związane ze „starym ogólniakiem”?

Oczywiście, że tak! Mile wspominam moją ukochaną wychowawczynię, Panią Annę Pasulę. Wspaniałe były również wszystkie wycieczki, jakie nam organizowała. Trudno nie wspomnieć tutaj o półmetku, studniówce oraz wszystkich imprezach osiemnastkowych.

Jednak szczególnie w pamięć zapadła mi studniówka. Tradycyjnie bal I Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego był największym tego typu balem na Bocheńszczyźnie. Byłam bardzo podekscytowana tym faktem. Nie mogłam doczekać się chwili rozpoczęcia studniówki. Taka noc zdarza się tylko raz w życiu. Tak oto pozostało nam mniej niż 100 dni do matury. Każdy odliczał czas, który pozostał mu do egzaminu dojrzałości. Sala była pięknie przystrojona przez uczniów klas III. Liczne balony oraz postacie bajkowych smerfów zdobiły pomieszczenie, w końcu miało być „smerfastycznie”. Wszystko prezentowało się znakomicie! Na sali bawiło się 9 klas maturalnych. Bal rozpoczął się przemówieniem wygłoszonym przez Panią Dyrektorkę Jolantę Kruk. Następnie wszystkie klasy zatańczyły poloneza. Wszyscy tańczyli brawurowo. Ja sama byłam bardzo podekscytowana faktem, że mogliśmy przedstawić ten piękny i tradycyjny taniec. Dziewczęta były pięknie ubrane w olśniewające suknie niczym księżniczki, chłopcy zaś w garniturach prezentowali się jak książęta. Można powiedzieć, że czułam się jak na królewskim balu. Wszyscy mawiali: „Jaka studniówka, taka matura”, tak więc nikt nie zamierzał próżnować, lecz bawić się do białego rana, aby z matury uzyskać jak najlepsze wyniki. Wreszcie nadeszła wyczekiwana przez wszystkich zabawa, podczas której uczniowie dali się ponieść wirowi studniówkowego szaleństwa. Noc wypełniona była tańcem, wspaniałą zabawą oraz przede wszystkim obecnością osób, z którymi spędziliśmy ogromną ilość czasu w murach szkoły. To wydarzenie na pewno zapadło wszystkim w pamięć. Ten wieczór był niesamowitym i niezapomnianym przeżyciem. Możemy tylko żałować, że studniówka jest tylko raz w życiu.

Jakiego profesora zapamiętałaś najbardziej i dlaczego?

Najmilej wspominam profesora od fizyki, Pana Łukasz Cyburę. Dlaczego? Myślę, że powodem tego jest to, że uczył przedmiotu, za którym nigdy nie przepadałam w gimnazjum, ponieważ wielu rzeczy nie rozumiałam. Można powiedzieć, że fizyka była moją zmurą. Jednak już po kilku lekcjach w liceum przekonałam się, że jest to osoba niezwykle otwarta i obdarzona ogromną wiedzą. Pan Cybura potrafił przyznać się do tego, że nie jest „alfą i omegą” i czasami nawet on może się pomylić. Myślę, że warto dodać, iż Pan Profesor był bardzo sprawiedliwym nauczycielem. Bez względu na to, jakim ktoś był do tej pory uczniem, jak się zachowywał, otrzymywał ocenę, która była odzwierciedleniem jego obecnej wiedzy i pracy. Słabszych poprzez pochwały motywował do pracy i nie lekcewał ich wysiłków. Styl jego pracy bardzo mi zaimponował. Być może metody nauczania Pana Cybura nie były szablonowe, ale najważniejsze, że były skuteczne. Prowadził ciekawe lekcje, na które uczęszczałam z ogromną przyjemnością. Dzięki niemu choć trochę zrozumiałam tę trudną dla mnie dziedzinę nauki.

Czy tęsknisz za czasami licealnymi?

Może nie tyle za czasami licealnymi, ile za ludźmi, których tam poznałam. Oczywiście, co jakiś czas spotykam się z niektórymi osobami z mojej klasy. Jednak w dorosłym życiu trudno jest zgrać termin nawet kilku osób.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Ja również dziękuję, miło było sięgnąć pamięcią do tamtych lat.

Rozmawiała Magdalena Dylowicz

Wspomnienia z I Liceum Ogólnokształcącego – wywiad z Moniką Synowiec-Płonką

W jakich latach uczęszczałaś do I Liceum Ogólnokształcącego w Bochni?

W latach 1986-1990.

Klasę o jakim profilu wybrałaś?

Uczęszczałam do klasy „E” o profilu ogólnym z językiem niemieckim.

Jak wspominasz naukę w Liceum?

Moja przygoda z Liceum rozpoczęła się od egzaminów wstępnych. Gdy oczekiwaliśmy na egzaminy wstępne, jeden ze starszych uczniów postanowił nas nastraszyć przed wymaganiami, które są stawiane w tej szkole i zaczął krzyczeć do nas: „Gdzie wy tu idziecie? Zastanówcie się, gdzie idziecie”. Pierwsze wrażenie nie było najlepsze, ale kolejne lata były o wiele lepsze, głównie dzięki wspaniałej wychowawczyni – Pani Magdalenie Kutscherze. Dzięki jej wsparciu i zaangażowaniu 4 lata w Liceum minęły bardzo przyjemnie. Również dzięki niej i wielu organizowanym przez nią wycieczkom udało się nam zwiedzić wiele pięknych i interesujących miejsc w Polsce, m.in. Pszczynę, Zwardoń oraz Międzyzdroje, Świnoujście i Wyspę Wolin. Gdyby nie talent organizacyjny i zaangażowanie Pani

Kutschery, nie udało się to, ponieważ w latach 80. organizowanie wycieczek nie wyglądało tak jak dzisiaj. Ponadto wielokrotnie odwiedzaliśmy krakowskie muzea i teatry.

Których nauczycieli wspominasz najmilej?

Nauczycielką, którą wspominam najlepiej, jest Pani Profesor Kutschera, która była cudowną i niezwykle sprawiedliwą wychowawczynią. Umiała bardzo dobrze jednoczyć klasę i zależało jej na dobrej współpracy wszystkich uczniów. W bardzo dobry sposób umiała również uczyć biologii, co spowodowało, że niemal cała klasa zdawała maturę z tego przedmiotu. Oprócz Pani Kutschery dobrze wspominam nauczyciela języka polskiego – Pana Józefa Mirochnę, który mimo że był bardzo wymagający, to potrafił nawiązać porozumienie z uczniami. Profesor zasłynął skrupulatnym odpytywaniem z lektur – do legend szkolnych przeszło pytanie: „Na czym wywieziono Jagnę?” (przy czym wymagał bardzo dokładnych opisów). Miło wspominam również nauczycieli fizyki – Pana Franciszka Turczyńskiego, języka rosyjskiego – Panią Marię Jaśko oraz geografii – Panią Elżbietę Kanaszkiwicz-Kowalską.

Co wspominasz najmilej z czasów szkolnych?

Bardzo dobrze wspominam wspólne muzykowanie na przerwach, podczas których uczniowie przynosili gitary i razem śpiewaliśmy piosenki popularnych ówczesnie twórców. Mam również wspaniałe wspomnienia ze studniówki, do której długo się przygotowywaliśmy, m.in. sami dekorując salę gimnastyczną i ucząc się tańczyć poloneza. Bardzo w przygotowaniach do studniówki pomagali nam rodzice. Sama studniówka była niezapomnianym przeżyciem dla wszystkich uczniów.

Wywiad przeprowadziła Małgorzata Płonka

Rozmowa z Justyną Put – absolwentką Liceum

Historia I Liceum Ogólnokształcącego w Bochni sięga 1817 roku. Od tamtej pory przez korytarze tego liceum przeszło tysiące ludzkich stóp. Uczęszczały do tej szkoły osoby ważne dla społeczności bocheńskiej i dla całej Polski.

Spośród ogromu osób, które to liceum ukończyły, ja pragnę przybliżyć sylwetkę pani Justyny Put. Obecnie studiuje ona astronomię, pracuje zaś w Szkolnym Obserwatorium Astronomicznym w Gawłowie oraz w Młodzieżowym Obserwatorium Astronomicznym w Niepołomicach.

Pani Put zgodziła się na wywiad, udałam się więc do Szkolnego Obserwatorium Astronomicznego w Gawłowie. Gdy uczniowie zajmowali się montowaniem satelity, przeprowadziłam z panią Justyną ciekawą rozmowę, w której powraca ona pamięcią do I Liceum i swojej dawnej klasy.

Tak na początek: Pani szkolne czasy w liceum to jakie lata?

W 2005 roku pisałam maturę. Naukę w Liceum zaczęłam w 2002 roku.

Jaki profil Pani wybrała?

Nasza klasa składała się z dwóch grup: matematyczno-fizycznej i matematyczno-chemicznej. Ja „należałam” do części matematyczno-fizycznej.

Czy miała Pani dużo nauki?

Bardzo dużo. Szczególnie z języka polskiego, z matematyki, dużo też było z chemii, jeśli ktoś miał rozszerzoną chemię. Z geografii także było dużo materiału, a z fizyki nie było aż tak źle. Jednak te przedmioty – matematyka, geografia, język polski – to były te przedmioty, na które nie dało się nie nauczyć.

Ze względu na stres?

Przede wszystkim ze względu na dużą ilość materiału, którą trzeba było opanować. Stres też był oczywiście.

A pamięta Pani, jak wyglądał rozkład zajęć?

Fizyki było niedużo, moim zdaniem, jak na ten profil. Natomiast matematyki było sporo, jak to z matematyką, ale była to tylko jedna godzina więcej niż miały inne klasy. Ale za to chemii, historii, geografii było mniej.

Chciałabym zapytać o kółka zainteresowań – dużo było wtedy kółek zainteresowań w liceum?

Moim zdaniem – mało. Ale dla każdego coś się znalazło. Było kółko fizyczne i astronomiczne, na które uczęszczałam, i bardzo miło wspominałam. Wiele się nauczyłam na tych zajęciach. Brałam także dzięki temu udział w konkursie astronomicznym dla klas licealnych. Dostałam się do etapu wojewódzkiego, a potem pojechałam na dalszy etap do Grudziądza.

Było kółko chemiczne – bardzo interesujące, niestety nie chodziłam na nie, bo nie miałam już czasu. Ale gdy dziewczyny opowiadały, co robiły z tymi wszystkimi próbkami, to aż ciarki przechodziły. Czego pani nie zdążyła zrealizować na

lekcjach z rozszerzenia z chemii, robiła to na kółku. Bardzo się też starała, żeby uczniowie mogli dużo wynieść z tych zajęć. I faktycznie, prawie wszystkie dziewczyny, bo w większości dziewczyny chodziły wtedy na chemię, poszły na farmację i kierunki związane typowo z chemią. Były kółka sportowe, siatkówka i piłka halowa, co ciekawe – było też kółko strzeleckie. Przyjeżdżał pan, który je prowadził. Chciałam na nie chodzić, ale było o późnej porze, więc niestety nie za bardzo miałam możliwość. Jestem spoza Bochni, więc był duży problem z dojazdem.

A do jakich przedmiotów szkolnych bądź do jakich nauczycieli wraca Pani z sentymentem?

Lekcje chemii uważałam za bardzo przyjemne, dobrze przeprowadzone; był wysoki poziom. Lubiłam ten przedmiot i sposób, w jaki były prowadzone zajęcia. Było niestety bardzo mało godzin chemii – chyba tylko jedna w ciągu tygodnia przez całe trzy lata. Języka angielskiego nie lubiłam, ale same zajęcia były w porządku. Języka niemieckiego uczyła nas nasza wychowawczyni, zajęcia były bardzo interesujące. Bardzo miło je wspominałam. Nie ucząc się wcześniej niemieckiego, bo uczyłam się tylko w liceum, poważnie zastanawiałam się nad tym, czy nie zdawać podstawy z języka niemieckiego na maturze zamiast języka angielskiego. Pani jednak mnie przekonała, że to nie jest najlepszy pomysł, bo jednak uczyłam się języka angielskiego o wiele dłużej. Zdawałam na maturze matematykę, język angielski, język polski, fizykę i – oprócz języka angielskiego – ze wszystkich tych przedmiotów zdawałam rozszerzenie. Bardzo ceniłam sobie panią od języka polskiego. Była w stanie mnie tak przygotować, że zdałam rozszerzony polski lepiej niż rozszerzoną matematykę. Był to ogromny szok na maturze. Naprawdę, byłam w szoku! Denerwowaliśmy się geografiami. Pani była wymagająca – i niepotrzebnie, bo

nas geografia nie interesowała. Przysposobienie obronne... zagadywaliśmy panią. Przedmiot ten mieliśmy tylko przez rok. Były jeszcze podstawy przedsiębiorczości, ale pani też się dawała zagadywać. Byliśmy wtedy bardzo zmęczeni, bo była to ostatnia lekcja. Zajęcia z wychowania fizycznego były bardzo ciekawe, sala gimnastyczna jest duża, więc wiele rzeczy można było zrobić. Informatyka była taka sobie.

Ma Pani jakieś bardzo miłe wspomnienia z liceum?

Tak, jest nim to przedstawienie (*wskazuje na zdjęcie*). Zrobiliśmy bardzo ciekawe przedstawienie dotyczące wstąpienia Polski do Unii Europejskiej, tak zwany Dzień Europejski. Pani od języka angielskiego zachęciła nas do tego. Spójrz, porzebieraliśmy się. Śpiewaliśmy bardzo różne piosenki w różnych językach. Na przykład ten pan tutaj przebrał się za wokalistę z Ich Troje. Z tyłu jest Iglesias. Koniec końców, bardzo się przy tym zgraliśmy. A najlepiej wypadł ten chłopak, Ernest – grono nauczycielskie spokojnie siedzi, on zaczyna tańczyć z kijem baseballowym. W pewnym momencie wszystkim dokładnie pogroził tym kijem, także panu od matematyki. Wszyscy na sali zaczęli się wtedy śmiać. Było to naprawdę komiczne. I nie takie obraźliwe dla nikogo, tylko zabawne. Każdy, kto był na tym przedstawieniu, pamięta tę sytuację.

A w jakiej to było sali? Bo wygląda dosyć znajomo.

To było w podziemiach.

Chyba jest to klasa 1 p. Tylko chyba niewyremontowana.

Tak, chyba tak. Przy okazji podziemi – nie lubiłam tam chodzić. Było tam wilgotno, taki stęchły zapach. Nie widać było słońca...

Cóż, kolejne miłe wspomnienie dotyczy przedstawienia o królu Kazimierzu. Wszystko szło dobrze do momentu, aż chłopcy postanowili, że zaczną walczyć. Byli przebrani za rycerzy. Mieli oni takie hobby, że lubili walczyć. Zbroje zrobili sobie sami. Walczyli naprawdę przekonywająco. W pewnym momencie jeden z nich drewnianym mieczem rozbił żarówkę. Gdy to nastąpiło, na chłopców poleciały iskry i wszyscy zaczęli się śmiać. Nikomu oczywiście nic się nie stało.

Wigilie także były bardzo miłe. Studniówka, półmetek – też bardzo zapadły mi w pamięć. Bardzo dobrze wspominam wycieczki. Podobały mi się też ostatnie tygodnie przed zakończeniem roku, bo nie chciało nam się wtedy chodzić do szkoły. Urządzaliśmy więc całą klasą węgry. Raz pojechaliśmy do Wiśnicza do pewnej koleżanki, raz do innej, innym razem wybraliśmy się nad Rabę. Razem spędzaliśmy ten czas ostatnich dni przed zakończeniem, a nauczyciele przymykali na to jakoś oko.

A gdzie miała Pani studniówkę?

Na sali gimnastycznej. Dekoracje zrobiliśmy sami. Jednym z motywów dekoracji były rysunki. Każdy z naszej klasy czymś się charakteryzował. Na przykład tutaj (*wskazuje na zdjęcie*) narysowany został chłopak, który był najlepszy z matematyki, nawet był lepszy od nauczyciela. Tutaj przedstawiona została dziewczyna, która pięknie gra na organach. Co ciekawe, teraz jest i muzykiem, i matematykiem. Ja jestem tu. W ręku trzymam pas, taki od spodni, ponieważ miał miejsce pewien nieszczęśliwy wypadek. W liceum są oczywiście osiemnastki. Pewnego razu tak mocno uderzyłam kolegę pasem, że mu aż łzy z bólu popłynęły. Nie było to oczywiście zamierzone, ale bardzo zapadło innym w pamięć. Jest jeszcze Szczepan – narysowano go w dużych spodniach, bo on lubił

chodzić w takich bardzo szerokich spodniach. Ernest oczywiście został narysowany z kijem baseballowym.

A była Pani zadowolona z wyników z matury? Jak była Pani przygotowana do matury?

Z polskiego – bardzo dobrze. Z fizyki trochę mniej, ponieważ większą część czasu poświęcałam matematyce, nie miałam już czasu na fizykę. Moje wyniki z matematyki mi się jednak nie podobały.

Miała Pani jakąś ulubioną część w szkole?

Czytelnia i biblioteka. Można tam było usiąść i porozmawiać. Na korytarzach było dosyć wąsko i był hałas. Natomiast w czytelni było spokojnie, przyjemnie. Bardzo lubiłam też salę fizyczną – nazywała się wtedy „Salą fizykalną”. Nad drzwiami do tej klasy znajdował się wtedy taki stary napis, ale chyba już zniknął. Lubiałam tę salę, bo było bardzo duże zaplecze dydaktyczne. Nawet stał tam teleskop. Lubiałam jeszcze zaplecze biologiczne, bo było tam bardzo dużo wypchanych zwierząt, pomocy naukowych, które trzeba było w odpowiednim jednak momencie pokazać. Ale niestety edukacja nasza została obciążona o rok w moim roczniku, więc momentalnie nauczyciele musieli się przestawić na krótszy system, pomimo to, że musieli przekazać taką samą wiedzę. Straciliśmy niestety bardzo dużo materiału.

Lubiła Pani szkołę wtedy?

Tak, lubiłam. Tylko miałam problem z matematyką, żeby to wszystko ogarnąć. Miałam zapał, chciało mi się uczyć, ale nie zawsze wychodziło. Czasami też nie byłam w stanie sobie ze wszystkim poradzić. Po dziewięciu godzinach zajęć trzeba było wrócić

do domu, coś zjeść, uczyć się i jechać na następny dzień na ósmą rano do szkoły. Mieszkałam poza Bochnią, musiałam więc jeszcze dojeżdżać do szkoły. Zajęcia niestety bardzo długo trwały. W pierwszej klasie ciężko było, bo dodatkowo zajęcia były po południu. Ciekawe jest to, że przez pewien czas nosiliśmy identyfikatory. Były problemy, osoby postronne wchodziły na teren szkoły, więc trzeba było je nosić ze sobą codziennie, bo inaczej nie było możliwe wejście do szkoły. Można było taki identyfikator kupić w sklepiku. Ogólnie było bezpiecznie, ale dzięki temu poziom bezpieczeństwa podniósł się jeszcze bardziej.

Podobało się Pani Liceum?

Bardzo mi się podobało to, że jest to stary budynek. Ja mam sentyment do starych rzeczy. I ta szkoła jest przecież z 1817 roku. Ma oczywiście tę część dobudowaną – salę gimnastyczną. Ale ta część stara, to wejście... Te łuki są śliczne. Ten charakter starej szkoły bardzo mi się podobał. Miała swój klimat. Klimat szkoły, przez którą wielu ludzi się już przewinęło. Nie podobały mi się za to podziemia.

Jakieś krótkie podsumowanie?

Żałuję, że nie mogłam chodzić na kółko chemiczne. Szkoda też, że tak rzadko chodziłam na kółko astronomiczne. Parę razy tylko tam byłam, chociaż mogłam chodzić częściej. Ale za to chodziłam do Niepołomic do obserwatorium. Poza tym ta szkoła miała wysoki poziom. Chemia, polski i geografia przodowały. Zajęcia z tych przedmiotów były prowadzone na wysokim poziomie.

Bardzo dziękuję za poświęcony czas.

Rozmawiała Izabela Paluch

Wspomnienia Sylwii Kępy – uczniicy Liceum z lat 2007-2009

W jakich latach uczyłaś się w „Starym Ogólniaku” i jaki profil wybrałaś?

Były to lata 2007-2009. Uczyłam się w klasie humanistycznej z językami: niemieckim i francuskim.

Dlaczego wybrałaś akurat tę szkołę i ten profil?

Wiedziałam, że to Liceum cieszy się dobrą opinią i jest najstarsze w Bochni, ponadto oferowało profil, który mnie interesował.

Które lekcje najbardziej zapadły Ci w pamięć i dlaczego?

Najmilej wspominam lekcje języka polskiego, WOS-u i biologii. Te pierwsze, bo po prostu kocham literaturę i mogłam rozwijać swoje zdolności, a poza tym miałam dobrego nauczyciela. Lekcje były ciekawe i inspirujące. Co więcej, dobrze przygotowały mnie do matury. WOS – także miałam świetnego nauczyciela, który wymagał samodzielnego myślenia, a nie nauki pamięciowej. Doceniał mnie za wiedzę, a nie za bezsensowne wypowiedzi. Biologię uwielbiałam także ze względu na prowadzącą, która potrafiła uczyć swojego przedmiotu z prawdziwą pasją, a równocześnie zawsze była sprawiedliwa względem uczniów.

Których przedmiotów nie lubiłaś? Każdy uczeń ma przecież swoje „wybrane” przedmioty i te, za którymi nie przepada.

Szczerze powiedziawszy, każdy przedmiot wspominam miło i z nostalgią. Nawet fizykę, ponieważ nauczyciel tego przedmiotu miał duże poczucie humoru.

Czy na przestrzeni tych trzech lat brałaś udział w jakichś konkursach związanych z Twoim profilem?

Tak, uczestniczyłam w Olimpiadzie Wiedzy o Społeczeństwie.

W jaki sposób pobyt w I Liceum Ogólnokształcącym im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni przygotował Cię do dorosłego życia i dalszej edukacji?

Pobyt w tej placówce nauczył mnie, że trzeba robić to, co się lubi, bez względu na opinię innych, oraz że należy uważać na niektóre osoby, bo nie zawsze można na nie liczyć. Posłużę się przykładem – moja klasa nie była zbyt dobrze zgrana, w jej skład wchodził uczniowie, którzy za wszelką cenę musieli być lepsi od innych, bo nie potrafili inaczej funkcjonować. Natomiast duże wsparcie okazywali nauczyciele.

Co obecnie studiujesz?

Ukończyłam polonistykę na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie – specjalizacja edytorska. Ponadto współpracuję z licznymi redakcjami, a niedawno rozpoczęłam studia doktoranckie.

Wysłuchała Magdalena Kępa

Wyniki konkursu

Z kronikarskiego obowiązku informujemy, że jury postanowiło nagrodzić i wyróżnić niżej wymienione prace:

- Krotos Katarzyna, *Mój drugi dom* – I miejsce
- Madej Katarzyna, *Wywiad z ks. Zbigniewem Kępą* – II miejsce
- Sitko Łukasz, *Wywiad z Janiną Kęsek* – III miejsce
- Włosiński Jakub, *Wywiad z Józefem Krawcem* – wyróżnienie
- Świętek Marlena, *Wywiad z B. Manowitą* – wyróżnienie
- Świgost Maria, *Wywiad z Michaliną Pięchową* – wyróżnienie

Organizatorzy Konkursu

Informacja o Stowarzyszeniu Absolwentów i Przyjaciół I Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni

W 2014 roku powstało Stowarzyszenie Absolwentów i Przyjaciół I Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni. Członkami-założycielami Stowarzyszenia było kilkudziesięciu nauczycieli i absolwentów tej najstarszej bocheńskiej szkoły.

Celem Stowarzyszenia jest przede wszystkim integrowanie środowiska absolwentów, byłych i aktualnych nauczycieli oraz przyjaciół Liceum poprzez kultywowanie więzi koleżeńskich, umożliwianie uczestnictwa w życiu szkoły, organizowanie zjazdów koleżeńskich.

Członkowie Stowarzyszenia pragną pielęgnować historię i tradycje Szkoły, promować ją w kraju i za granicą. Dorobek Liceum ukazywany będzie m.in. poprzez prezentowanie dokonań naukowych, zawodowych i społecznych naszych absolwentów.

Stowarzyszenie ma zamiar pozyskiwać środki finansowe na stypendia dla uczniów, dofinansowywać udział społeczności szkolnej w spektaklach teatralnych, imprezach kulturalnych i artystycznych, zajęciach sportowych poza terenem Szkoły m.in. poprzez aplikowanie o środki, do których dostęp mogą mieć jedynie fundacje i stowarzyszenia, wzbogacając w ten sposób bazę dydaktyczną i sportową Liceum.

Stowarzyszenie jest otwarte dla każdego, kto pragnie włączyć się w jego działalność. Szczegółowe informacje o Stowarzyszeniu znaleźć można w stosownej zakładce internetowej strony I Liceum: <http://www.1lo.bochnia.pl/>.

Spis treści

Wstęp.....	5
Sławomir Wiśniewski <i>Chciało się żyć.....</i>	9
Katarzyna Krotos <i>Liceum – mój drugi dom.....</i>	27
Katarzyna Madej <i>Rozmowa z ks. Zbigniewem Kępcą.....</i>	33
Łukasz Sitko <i>Rozmowa z Janiną Kęsek.....</i>	39
Jakub Włosiński <i>Wspomnienia Józefa Krawca.....</i>	45
Marlena Świętek <i>„Historia – świadek czasu...”.....</i>	49
Maria Świgost <i>Wywiad z Michaliną Pięchową.....</i>	53
Monika Wojcik <i>Licealne wspomnienia.....</i>	57

Mikołaj Cierniak	
<i>Wspomnienia Wojciecha Czernego</i>	61
Wiktoria Szenborn	
<i>Wspomnienia Pani Zofii i Pani Izabelli</i>	67
Paulina Bugaj	
<i>Wspomnienia Agnieszki Bielak</i>	71
Adam Chmura	
<i>Rozmowa z Józefem Cichostępskim</i>	73
Magdalena Dylowicz	
<i>Liceum we wspomnieniach Karoliny Puławskiej</i>	77
Małgorzata Płonka	
<i>Wywiad z Moniką Synowiec-Płonką</i>	81
Izabela Paluch	
<i>Rozmowa z Justyną Put</i>	83
Magdalena Kępa	
<i>Wspomnienia Sylwii Kępy</i>	91
Wyniki konkursu	93
Informacja o Stowarzyszeniu Absolwentów.....	94